

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 23 CZERWCA 1928 ROKU

NR 26

TREŚĆ NUMERU: Odpowiedzialność honorowa kobiety—*Dr. J. Świtalska-Fularska*. Musimy okazać światu nasze prace—*Natalja Jastrzębska*, O modę mody—*M. H. Szpyrkówna*, Poezje: „Kraków”—*Andrzej Wolica*. W starym lustrze—*Bronisława Ostrowska*. Kryształowa kula (c. d.)—*Max Wit*. Z życia muzycznego — *P. L.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *W. B.* Książki nadesłane do redakcji „Bluszczu”. Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i j. k.* Ilość studentek w polskich szkołach akademickich — *Lidja Kozakówna*. List z Paryża (dok.) — *M.* Zdobienie balkonów roślinami (dok.) — *Stan. Schönfeld*. Czwarty zjazd czeskich gospodyń (dok.) — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Suknie z dwóch tkanin—*Well*. Abażurydo lamp majolikowych do gabinetu lub salonu. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy”—*M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ HONOROWA KOBIECY

Artykuł, nadesłany nam przez inicjatorkę Ligi praw honorowych kobiet i reformy Kodeksu honorowego, Dr. J. Świtalską-Fularską.

W dawnych czasach, gdy kobieta pozbawiona była wszelkich praw ludzkich, mężczyzna nie bez słuszności brał na siebie odpowiedzialność za jej czyny i obronę jej czci.

Z tego to okresu muszą pochodzić kodeksy t. zw. honorowe, świadczące o honorowej nieodpowiedzialności kobiety. Istotnie, w czasach, w których kobieta siedziała, jako ta lalka, w domu mężczyzny i była mu jedynie ozdobą i umileniem życia—pan, mąż i władca miał obowiązek opiekować się biednym stworzeniem, chronić je od trosk życia codziennego, broniąc przed nieprzyjacielem i dbając zarazem o jego honor. Po tej linii szło wychowanie kobiet, gdyż jeszcze przed kilkunastu laty nie wypadało dziewczęciu dawać słowa honoru. Poprostu, honor—było to coś, o czym panience nie wypada mówić, a tembardziej coś, na co powoływać się dziewczynie stanowczo nie było dozwolone, jakgdyby kobieta naprawdę honoru mieć nie mogła.

Obecnie, gdy kobieta nowoczesna wyszła z zacisza domowego i narówni z mężczyzną bierze udział w życiu, w sprawach społecznych, politycznych i zarobkowych — nie może zgodzić się na to, by za jej czyny brał odpowiedzialność chociażby najukochańszy jej mąż, brat, lub ojciec.

A cóż ma robić nieszczęsna kobieta, gdy nie posiada mężczyzny w rodzinie? Czy, wedle dotychczasowych kodeksów honorowych, ma ją bronić mąż, brat,

krewny, lub wbraku ich — mężczyzna, z którym chociaż raz w życiu szła pod rękę?! (Autentyczne).

Czy, będąc adwokatką, lekarką, lub nauczycielką, staje się honorowo nieodpowiedzialna i tem samem wykluczona z towarzystwa kulturalnych ludzi?

Nie, po stokroć nie!

Sprawa ta jest naprawdę paląca i musi być rozstrzygnięta przez same kobiety, i to w jaknajkrótszym czasie.

Kobieta nowoczesna, biorąca udział w wielu sprawach życiowych, zajmuje często sprzeczne ze swoim mężem stanowisko; walczy, gorąco dyskutuje i bardzo łatwo może znaleźć się w przykrym konflikcie honorowym. Przy znanej żywości i uczuciowej reakcji kobiety, łatwiej powstają zatargi między kobietami, nierównie łatwiej, niż u mężczyzn, bardziej na polu społecznym wyrobionych.

Każda z pań, która styka się z pracą społeczną kobiet, wie, jak często o powodzeniu, lub niepowodzeniu danej sprawy decyduje to, kto za nią przemawia.

Plotki, ploteczki, opacznie zrozumiane, zupełnie niewinne powiedzenia—bardzo często mogą być przeszkodą i przyczyną rozbicia poważnej pracy.

Z tego powodu wszelkiego rodzaju zatargi przechodzą znacznie łatwiej między kobietami, bez konieczności reagowania: poprostu kobiety łatwiej padają w konflikty, lecz równie łatwo zapominają i przebaczą sobie nawzajem—łatwiej, niż mężczyźni.

Wskutek tego kobieta, nie mając możności ponoszenia osobiście konsekwencji swoich czynów, wyrabia w sobie coś w rodzaju braku poczucia odpowiedzialności. Przyznanie prawa honorowej odpowiedzialności kobiecie uczyni ją tem samem bardziej uważającą na swe słowa i uczynki.

Istotnie, w tym przejściowym okresie stary obyczaj zanika, a nowy się jeszcze nie ustalił.

Miejmy nadzieję, że tego rodzaju okres przejściowy ma się już ku końcowi i, kolidując ze współczesnym ujmowaniem spraw ludzkich, z poczuciem prawa, sprawiedliwości i odpowiedzialności—musi być jak najszybciej zlikwidowany.

Wskutek dotychczasowej nieodpowiedzialności kobiety, zbyt lekkomyślnego, lub nieodpowiedniego wyrażania się jej—ponosi konsekwencje jej najukochańszy mężczyzna, przypłacając życiem lub zdrowiem zgubne skutki braku poczucia odpowiedzialności kobiety.

Nie mam zamiaru narzucać kobietom formy załatwiania swoich spraw honorowych czy to drogą sądu honorowego, czy też jakąkolwiek inną—w tego rodzaju kwestji powinny się wypowiedzieć całe szeregi kobiet, interesujących się daną sprawą.

Intencją mego artykułu jest wysunięcie tematu odpowiedzialności honorowej samej kobiety za jej

własne czyny, z odrzuceniem pomocy i zastępstwa mężczyzny od spraw honorowych kobiety.

Słuszność sprawy, oraz konieczność jaknajszego jej załatwienia i zrealizowania nie podlega żadnej dyskusji. Chodzi tylko o to, żeby jaknajszybciej znaleźć sposób wyjścia z tego, krzywdzącego wszystkie kobiety, kodeksu honorowego.

W tym celu z inicjatywy Rodziny Wojskowej i Akademickiego Koła Przyjaciół Ligi Narodów organizuje się obecnie Liga honorowych praw kobiet i reformy Kodeksu honorowego, która ma na celu utworzenie Ligi Odpowiedzialności Honorowej, która byłaby federacją między-stowarzyszeniową i miała na celu:

a) stworzenie nowoczesnego kodeksu honorowego;

b) wprowadzenie go w życie przez odpowiednie przygotowanie społeczeństwa zapomocą prasy, oraz przez wyrabianie opinji.

Oddając pod dyskusję temat mego artykułu, zdaję sobie sprawę, że Liga nie może jeszcze mieć żadnej egzekutywy w tym kierunku, a tylko dobrowolna zgoda na podstawowe zasady Kodeksu, przygotowywanego przez Ligę, rozwiąże kwestję odpowiedzialności kobiet samych za siebie w swoich sprawach honorowych.

O nowoczesnym kodeksie honorowym pomówimy w osobnym artykule.

Dr. J. Świtalska-Fularska.



NATALJA JASTRZĘBSKA

MUSIMY OKAZAĆ ŚWIATU NASZE PRACE

W roku 1930 przypada stulecie niepodległości Belgji, dla którego uczczenia przygotowuje się już szereg uroczystości, między nimi—dwie wystawy: Międzynarodowa Wystawa wielkiego przemysłu i nauki w Leodjum, oraz Wystawa Kolonialna w Antwerpii. Obie odbędą się pod protektoratem króla belgijskiego.

Władze polskie otrzymały zaproszenie wzięcia udziału w wystawie w Leodjum, na której, prócz przemysłowych, urządzone być mają specjalne działy muzyki, rolnictwa, życia kobiecego, turystyki i sportu.

Ponieważ Leodjum stanowi walne centrum komunikacyjne, w którym krzyżują się linje ekspresów Londyn—Konstantynopol i Paryż—Berlin—Warszawa—Moskwa, komitet wystawy spodziewa się wiel-

kiego napływu zwiedzających, których oblicza na siedm milionów! Jeżeli działy polskie zostaną odpowiednio sprezentowane i rozwinięta będzie należyta propaganda—znaczna część turystów mogłaby i do Polski zawitać.

Władze nasze wzięły tę sprawę bardzo do serca i na specjalnej konferencji międzyministerjalnej zapadnie wkrótce decyzja, jakie sumy przewidziane będą w budżecie przyszłorocznym na cel projektowanego udziału Polski w wystawie.

Otwiera się nam szerokie i wdzięczne pole do popisu.

Nie tak wiele jeszcze było tych wystaw w czasach powojennych, a zwłaszcza wystaw o tak szeroko-

kim zakresie. Warszawa brała udział w zeszłorocznych wystawach miast i ogrodniczej w Paryżu i Brukseli i otrzymała wysokie odznaczenia. Ale teraz Leodjum organizuje wystawę, w której ramach można naprawdę pokazać wszystko, co dany kraj ma ciekawego i wartego okazania.

Sama wystawa jest dla nas ze wszech miar sympatyczna: stulecie niepodległości Belgii wiąże się z naszą rocznicą listopadową, nietylko samą datą, lecz całą historią. Z Belgią łączą nas serdeczne stosunki. Kobiety polskie powinny wszelkimi siłami dopomóc do tego, aby udział naszego kraju w wystawie belgijskiej był jaknajwydatniejszy i wypadł jak najświetniej. Technicznie nawet będzie to o tyle ułatwione, że w r. 1929 odbędzie się w Poznaniu Wystawa Powszechna Krajowa, tak, że wiele eksponatów już gotowych mogłoby zostać wysłanych do Leodjum.

To są wszystko względy ogólne, ważnej natury, które skłonić nas powinny do wzięcia gorliwego udziału w tej sprawie; ale istnieje jeszcze jeden wzgląd, niezmiernie nas obchodzący: — to ów specjalnie wyróżniony „dział kobiecy“.

Jest to, zdaje się, nowość, na niewielu dotychczasowych wystawach uwzględniana — wynik czasu, ducha epoki, wysuwającego ważność zagadnień współpracy kobiet, ich organizacji, ich specjalizacji. Można już dziś przewidzieć, że kraje, prowadzące intensywną akcję kobiecą, jak np. Ameryka, skwapliwie skorzystają ze sposobności zaprezentowania owoców pracy swych obywateli.

Nie może więc zabraknąć tam kobiet polskich.

Nie może jeszcze i dlatego, że będzie to dla nas pierwsza sposobność przedstawienia całemu światu, jak polki pracowały dawniej i jak pracują obecnie w odrodzonej ojczyźnie.

Przedewszystkiem należałoby stworzyć dział retrospektywny, dający obraz działalności kobiet przed wojną, i to nietylko samego ruchu kobiecego, lecz całokształtu pracy. A więc odtworzyć graficznie, w obrazach i wykresach, pracę na wsi, tajne nauczanie, pracę na Kresach. Pierwsze próby działalności w stowarzyszeniach. Potem okres wojenny: udział w pracy sanitarnej, w komitetach, zarówno w kraju, jak i na ewakuacji i na emigracji. Wreszcie — udział kobiet w roku 1920.

Naturalnie, że te eksponaty byłyby z natury rzeczy papierowe, graficzne, rysowane i pisane. Ale, przygotowane dobrze, mogłyby być niezmiernie interesujące, nawet imponujące. Grafika tylko w Polsce ludzi przestrasza, gdzieindziej bardzo się nią zajmują.

Prócz tego materiału, należałoby również pomieścić w tym dziale i eksponaty: obrazy, rzeźby, artystyczne roboty, i t. p. z czasów przedwojennych.

Podobne eksponaty znaleźć mogą miejsce w dziale, obrazującym działalność bieżącą. A więc i tu, obok produkcji przemysłowej teraźniejszej, jak konfekcja, roboty i mody, znaleźć się musi produkcja artystyczna; a dalej — obrazowanie graficzne pracy społecznej, politycznej, statystyka pracy kobiet w urzędach i instytucjach, stowarzyszenia, prasa, sport. Wiele z tych działów wystawić może świetne pokazy, jak np. sport i przysposobienie wojskowe.

Jest to, rzecz prosta, tylko plan, rzucony szkicowo. Szczegółowe wykonanie go, jak również najrozsądniejsze zmiany i meljoracje muszą być przedmiotem specjalnych obrad Komitetu wystawowego. Chodzi narazie jedynie o to, aby Koła kobiece wzięły do serca tę inicjatywę.

Praca jest duża, bezwzględnie, czas do niej niezbyt długi: dwa lata dla przygotowania planu i zebrania materiałów do takiej wystawy będą wymagały intensywnej akcji — ale zdążyć można. Tembardziej, że zakres roboty tylko na pierwszy rzut oka wydaje się tak olbrzymi. Zważyć musimy, że każde ogniwo tego łańcucha działałoby samo w niewielkim stosunkowo zakresie, swoim własnym. Nadto, wystawczyni ze sfer przemysłowych, artystycznych, sportowych nie ociągałyby się napewno, mając okazję zaprezentowania swej działalności. Najwięcej więc wymagałby pracy czysto bezinteresownej — dział retrospektywno-społeczny. Ale i tu, wzięwszy pod uwagę liczbę stowarzyszeń kobiecych, możnaby podzielić akcję tak, aby nikt nie był nią przeciążony.

Narazie chodzi więc tylko o zaczęcie działalności, o to, aby stowarzyszenia kobiece — i to zarówno społeczne, jak i zawodowe — zorganizowały Komitet, przygotowujący udział kobiet polskich w wystawie w Leodjum.

Komitet taki będzie, naturalnie, połączony z ogólnym Komitetem, zorganizowanym zapewne przez rząd, lub ciała samorządowe. Trzeba jednak, aby nasza inicjatywa była już skoordynowana i mogła przystąpić do działalności z gotowym jej planem.

Pamiętajmy — to pierwsza okazja wystąpienia na arenie międzynarodowej z owocami naszej pracy, zobrazowania naszego charakteru narodowego. Nie wolno nam jej zaniedbać, lub pominąć! Zapoznanie świata realne, dotykające z twórczością i rezultatem pracy obywateli Polski w ich ojczyźnie — jest naszym obowiązkiem politycznym i narodowym.



M. H. SZPYRKÓWNA

O MODĘ MODY

Stanowczo — moda nie jest w „Bluszczu“ moja dziedziną! ma już oddawna² swoje fachowe, dużo kompetentniejsze przedstawicielki. To też wychodzę z fachu wyłącznie na wyrażną, a już, nawiasem nadmienię, nie pierwszą, zwróconą do mnie w tej sprawie przez czytelniczki, interpelacje.

O cóż idzie?

Kwestje, kierowane do mnie osobiście przez czytelniczki „Bluszczu“ w sprawach modnych, rozpadają się głównie na trzy kategorie. Którakolwiek z pań miała pod tym względem jakieś dezyderata, niech uważa: Artykuł ten traktuję, jako zbiorową odpowiedź.

Po pierwsze: że moda powinna być bardziej polska — nie kopjowana z zagranic.

Że moda nie powinna się zmieniać tak fantazyjnie, ani być tak zbyt kowna, bo to rujnuje budżet kobiety, a z nią i budżet domowy.

Że moda powinna w pismach, poważnie myślących, być odpowiednio cenzurowana przez wydawnictwo, ażeby nie lansować wzorów gorszących.

Takie są główne postulaty, wysuwane przez panie i domagające się jakiegoś rozwiązania — całkowicie, czy też kompromisowo. Czuję zgóry, że trzeba będzie iść na kompromis! Ale kompromis i kompromitacja mają, na szczęście, tylko wspólny początek, nie wspólny sens! Tylko kompromisem z dwu krańców można wyciągnąć jaką taką linkę porozumienia.

Spróbujmy.

Zacznę od ostatniego listu.

Jedna z pań mianowicie uważa, że przynajmniej modele dzieciinne powinny być wyzbyte przesady w wycięciach i krótkości, gdyż nie ma to, jej zdaniem, nic wspólnego z higieną, a dużo — z brakiem skromności, do jakiej należy przyzwyczajać dziecko. I załącza model jakiejś króciutkiej sukieneczki.

Otóż jest, zaraz bodaj na początku, pod tym względem do wyświetlenia szczegół, który, mam wrażenie, ten pierwszy konflikt w znacznej mierze usunie. Cóż jest moda? Moda jest rzutowaniem pewnych rysów charakterystycznych w ten sposób, aby je jak najbardziej uwydatnić i dać wrażenie sylwetki. Moda w tym względzie jest nie fotografią, od której wymagamy podobieństwa literalnego i nie zgodzilibyśmy się, aby nos był swobodnie umieszczony o dwa centymetry wyżej, czy niżej, niż jest w istocie na danej twarzy. Protestowalibyśmy głęboko! Jest, natomiast, raczej podobna do rysunku, zwanego „szarż“: ogólne podobieństwo jest wierne, ale rysy charakterystyczne

są wyegzaltowane do potęgi — w rzeczywistości wcale nie tak znacznej — poto właśnie, by podkreślić cechy charakterystyczne.

To samo dzieje się z modelami mód. Niema na świecie kobiet — a jeśli są, to Ameryka już je z pewnością powylawiała na swoje konkursowe piękności — któreby przecież miały tak wężowe sylwetki, tak modelowe główki, tak wysmukłe nóżki, jak ma każdy model!

A jednak nie znaczy to, żeby takie tylko kobiety mogły się w te same suknie ubrać. Bynajmniej! Model przesadnie podkreśla pewne rysy znamienne — dlatego, że gdyby narysował proporcje zwykłe, byłoby nieporównanie trudniej od razu chwycić linię. Linja obecna podkreśla niewątpliwie krótkość, jako rys charakterystyczny dla współczesnej mody dzieciinnej. Zagranica w tym względzie dochodzi dużo dalej, bo w myśl współczesnych teoryj o powrocie do natury, powietrza i słońca — wszystko, cokolwiek może być nie zasłonięte — odsłania się! Ale, oczywiście, jest to i d e a mody — a przesunięcie linii granicznej o cal, czy dwa cale nie może być absolutnie przez nikogo matkom narzucone, gdyż byłoby to nonsensem. Przeciwnie: moda spodziewa się po każdej matce smaku osobistego w szczegółach, tak żeby w jej środowisku, w jej warunkach indywidualnych, przy urodzie takiej, a nie innej jej dziecka — zastosowała miarę własną, biorąc model sukienki tylko za ogólną wskazówkę, czy też szczegóły w odrobieniu, ale nigdy — za kanon, zastosowany bez zmian! Dziecko, które ma szczególnie długie, chude, czy nieforemne nóżki, będzie tylko zeszpecone przez o dwa cale krótszą sukienkę, podczas gdy innemu, o małym wzroście i pulchniutkiemu, w długiej — będzie brzydko.

Prosta więc rzecz, że niepodobna jest brać modeli mody dosłownie — i wydawnictwo, z „Bluszczem“ włącznie, tego po swoich abonentkach nie oczekuje. Dobrze ubrane będzie nie to dziecko, które jest wzorem z modelu, tylko takie, które jest ubrane odpowiednio — do twarzy, do warunków, do otoczenia, do zajęć.

Każda matka, którą razi zbyt krótka, zbyt wycięta, czy zbyt strojna sukienka dzieciinna, może być zupełnie pewna, że ma na nią tylko rzucić okiem dla powzięcia pomysłu i linii ogólnej — trudno by teraz, jak w ośmnastym wieku, ubrać nasze bączki w dekolty z trenem i kontusze! Ale w szczegółach, w mierze, w materjale i zastosowaniu — ma wolną rękę — i im więcej jej ma, tem lepiej. Jeżeli, powiedzmy, w Po-

znańskim, gdzie mieszka, krótkie sukienki, przyjęte przez Królestwo, rażą: dlaczego nie ma ubrać swego synka, albo córy tak, jak właśnie są ubrane inne małe poznaniątka? Dlaczego ma się od nich wyróżniać? A z drugiej strony—jeżeli Warszawa uznaje dla dzieci wszystko jaknajkrótsze—niech skraca! Ostatecznie, możemy tyle polegać na dobrym smaku matek—zarówno z Poznania, jak z Warszawy, Lwowa, czy nawet Koziej-Wólki—że pewną miarę, właściwą w ich środowisku, utrzymają zawsze i nie zrobią z Milusińskich—małych karykaturek: byłoby szkoda!

A teraz—spolszczenie mody.

Ze względów finansowych—byłoby to marzenie! Ale ma to i minusy, kiedy idzie o całość. Skosmopolitowaliśmy się dzisiaj — mówię o ludzkości wogóle — zabardzo, aby móc bez niewygody wyodrębnić się modą, jako krojem: tyle jest teraz kongresów, wystaw, wycieczek, reprezentacji, gdzie wszystko jest pod strychnicem! Ale moglibyśmy mieć daleko ważniejszą metodę spolszczania mody: materiały. Ach, te krepdeszyny, żorżety, „kasze“ i imię im zresztą legion! Ileż połykają polskich złotych, a — jak prędko idą na strzępy! Tu jest sedno spolszczenia konfekcji: wytwórnice odpowiednich tkanin! Są takie, które mamy i eksportujemy, ale zbyt słabe — sprowadzamy. Masami, masami, masami! Są jednakowoż poszlaki, że powoli, z wyrobieniem się państwa, i ta dziedzina się rozwinie. Widziałam w letnich modelach bardzo szczęśliwie pomyślane jaskrawe lub białe z haftem sukienki, imitujące zasadniczo sukmanę krojem i sposobem zdobnictwa: biała sukienka — czerwony, granatowy, czy mieszany jaskrawy haft przez przód i dołem — sznur w pasie. Idzie tego bardzo dużo na letniska i plaże i doskonale w wielkim słońcu, na wsi, wygląda. Mamy dość duży wybór tkanin kwiecistych, t. zw. chłopskich, z których ślicznie wygląda krótki staniczek i bufiasta spódniczka. Mamy zresztą obfitość trykotów, ładne próby kilimowych torebek na płótnie i przemiłe kapelusiki letniskowe, genre zakopiański, z lasetu i włóczek. Wobec mody kamizelki, bardzo pięknie mógłby się nawrócić nasz dawny

serdaczak, ostatnio zaniedbany — w pewnej, lżejszej stylizacji.

Nie powiem, żeby nasza sztuka nie wytłaczała piętna swoistego na ubraniu, zwłaszcza zaś — na przybraniu naszych ubrań. Panie, po temu uzdolnione, powinnyby pomyśleć nad wyrobami z rafji—ładne plażowe kapelusze, pantofelki i parasolki, a także maty na podścieliska. Możliwość to ślicznie ubarwić stylowymi kwiatami i zarzucić tem nietylko nasze zdrojowiska, letniska i wsie, ale i zagranicę. Kwestja inwencji i inicjatywy! Albo plażowe koszyczki, tak kupowane przez nas samych we Włoszech? Potrafilibyśmy wyrabiać nie gorszel

Ale wobec trzeciego punktu—zmienności mody—jestem zato całkowicie bezradna. Tak jest: moda oszalała! Bodajby to czasy minione, kiedy szaty przechodziły w posagu z babki na wnuczkę, stały na podłodze własnym ciężarem i stawały czoło zębowi czasu!

Nie mam pojęcia, czy i naszym prababkom na pończoszki puszczały oczka? i co wówczas robiły? Czy rękawiczki tak samo niesposób było nastarczyć i po praniu chemicznym wyglądały, jak po ciężkiej chorobie? Czy pantofelkom wykrzywiały się tak samo niegrzecznie obcasy?.. Są to plagi mody, niesyte paszcze, połykające nasze oszczędności, a nieraz i—deficyty! bez względu i litości. Moda jest obrzydliwa, nietrwała, zbyt słaba, cudowna! I liczę tylko na jedno: że zbuntują się wreszcie raz przeciwko jej wybrykom wierne filary kobiecości wojującej: sufrażystki angielskie! I, ubrawszy się w uniform z szarego worka i apostołskiego kija, pójdą tłuc szyby wielkich wystaw sklepowych w Londynie i Paryżu. Ale i na to słaba nadzieja, ponieważ najzaciętsza ich przodowniczka... wyszła w tajemnicy zamaż i haftuje niemowłecemu swemu sufrażiatku zbyt słabe śliniaczki. Czem? Zapewne gwiazdkami z nieba, jak każda zresztą matka! I wobec tego już nie widzę żadnej deski ratunku: chyba—kompromis! Takie suknie, aby nigdy nie były zbyt modne, gdy je moda lansuje, ani zbyt wycofane, gdy ta sama moda—mija.



ANDRZEJ WOLICA

KRAKÓW

*Wystrzeliły w błądy lazur nieba
Ostre wieże Twych kościołów butnych.
Orzeł skalny — nikogoś się nie bał —
Twardy, silny, milczący i smutny.*

*Rozpłakane dzwony grały w wieżach,
Rozszumiały pachniały kasztany —
Bóg Ci miarą szeroką odmierzał
Słońca złotych promieni porannych.*

*Blade krzyże na kościelnych wieżach
Panowały dumnie, niepodzielnie.
Na ulicach cień pokory leżał,
Pajac miejski, zbłąkany wśród dzielnic.*

*Wczesne ranki i wczesne wieczory
Kołysały legendę o Polsce.
Niebo było sztandarem skrwawionym,
Malowanym w białej, polskiej książce.*



BRONISŁAWA OSTROWSKA

W STAREM LUSTRZE

Fragmenty

Pana generała nie pamiętam. Majaczeją mi wprawdzie jakieś ciężkie, złote epolety z błyszczącymi frendlami i siwe, sumiaste wąsy nad czerwonym kołnierzem, ale to raczej, jako fragment jakiegoś nawpół zatartego już snu. Zato babcie generałową widzę dotąd, jak żywą, z jej pudrowanemi włosami i czarną koronkową mantylką. W mieszkaniu stryja mieszka w najdalszym pokoju, dusznym od zapachu saszetów i apteczki. Jest tam toaleta, cała zastawiona wytwornemi przyborami i książkami do nabożeństwa. Tych ostatnich jest dziwnie dużo. Obok kryształowych pudełek i flakonów leżą poważnie, oprawne w skórę, aksamit i kość, budząc we mnie uczucie zaniepokojonego szacunku. Mam stałą pokusę obojętności ich wnętrza, pełnego z pewnością rzeczy, nad wyraz wszelki ciekawych, ale onieśmiela mię sztywna niepokalaność złożonych brzegów i szczelne zamknięcia klamerek, nieprzyzwyczajonych widocznie do częstego użytku. Może jednak jeszcze więcej zaciękuje mię dziwny, złoty obrazek, zawieszony w samym rogu pokoju, za wysoko, aby można go było obejrzeć dokładnie. Próbowалам dotrzeć doń już nieraz — zawsze na próżno. Jest, podobno, pamiątką po generale. W każdym razie nigdzie indziej nie widziałam podobnego i chciałabym odczytać koniecznie dziwne, okalające go litery. Ale choć stanowi to atrakcję moich każdorazowych odwiedzin, nie śmiem nic powiedzieć nikomu, bo wiem, że w domu stryja nie o wszystkim mówić należy. I, co najważniejsze, mam rację, którą dopiero zrozumieć znacznie później.

Tymczasem zresztą jest tyle innych ciekawych rzeczy.

W jadalni wielki kredens brzęczy od szykownych, szkieł i srebra. Ciepły krąg wiszącej lampy ogarnia biało nakryty stół. Na boku, przy zielonym stoliku z zapalonemi świecami, babcia generałowa gra z gośćmi w ramsza z muchą. W sąsiednim salonie stryj z moim ojcem rozmawiają, chodząc miarowo wzdłuż wielkiego pokoju. Czasem uproszony przez ojca stryj siada do fortepianu. Gra rzadko i niechętnie, podobno od śmierci żony. Ale jak dotknie rękami klawiszy, mówią one pod jego palcami rzeczy dziwnie przejmujące i wielkie. Wtedy najlepiej jest wtulić się w kąć na dywanie za palmą i słuchać.

Młodzież w gabinecie próbuje towarzyskich zabaw. Ponieważ jestem dużo młodsza od wszystkich, po kolacji układają mię najczęściej na kanapie, skąd, nawpół zasypiając, patrzę na wszystko i słucham. Wtedy jest najciekawiej: zabawy się wyczerpały i przysła jakaś poważna dyskusja. Dwie kuzynki

z długimi warkoczami opowiadają coś mojemu starszemu bratu, który przytakuje gorąco. Naprzeciw siedzi blady, czarnooki kuzyn Paweł, w nieposzlakowanym szkolnym mundurku z kwiatem w butonierce. Uśmiecha się trochę smutnie, trochę drwiąco. Padają jakieś duże słowa, zgodne, kołyszące — Polska, społeczeństwo, wreszcie najwyższe — Bóg. Wtedy wpada mi ostro w uszy zdumiewająca odpowiedź Pawła. Otwieram oczy: nie, nie przestał się uśmiechać. Musiało mi się przesłyszeć. To przecież nie nie znaczy, a myśl uporczywie powtarza nieprawdopodobne słowa:—a który Bóg: katolicki, czy... prawosławny?—Za ścianą stryj gra, cień palmy w drżącym blasku świecy wyciąga fantastyczne łapy po suficie. Wielkie akordy przepełniają przestrzeń, jak dzwony. Wszystko zapada w mój sen.

Tajemnicę domu stryja dojrzałam poraz pierwszy w całej grozie, kiedy w tym samym gabinecie czarnooki kuzyn Paweł powiesił się w swoim nieposzlakowanym szkolnym mundurku z tuberozą w butonierce.

Uroczystości żałobne wyjaśniły mi ją nagle całą i były mi pierwszą lekcją niewoli i nienawiści.

Na bardzo wysokim katafalku, w otwartej trumnie, pośród świec i laurów rzeźbił się ostro blady, chłopięcy profil. Szkolny mundurak pokryty był kwieciami tuberoz, których odurzający zapach, zmieszany z dymem wschodniego kadzidła, przepełniał kaplicę.

Przy bladym dniu zapalone gromnice migotały posępnie, jak złote migające serca. Wszyscy wchodzili kolejno na stopnie i całowali tę daleką twarz, co w zmiennem świetle zdawała się ożywać, uśmiechnięta smutnie i drwiąco. Samobójstwo nie uchroniło śmierci Pawła od jarzma, które wytrąciło go z życia.

Wielcy, brodaci popi w czarnosrebrnych kapach otoczyli trumnę, śpiewając nad nią ponuro i wrogo. Niezrozumiałe słowa odbijały się twardo o mury, przycichały na chwilę i zrywały się nanowo w nieskończenie długich zaśpiewach. Przed katafalkiem stał mój stryj z nisko opadłą na piersi głową, bez drgnięcia od początku do końca obrzędu. Babcia-generałowa stała obok, załamawszy na zamkniętej książce do nabożeństwa suche, upierścienione ręce. Może patrzyła na złotą obrączkę generała, którą niegdyś wsunięto jej na palec przy takim samym obcym i wrogim śpiewie? Na tę jedną złotą obrączkę, skazującą całe szeregi pokoleń na jarzmo znieprawidzonego prawosławia. Na ten drobny, złoty krążek, co obruszył się

całą lawiną sypiących się latami bólów, upokorzeń i klęsk. Huczy ciężko lawina w zdejmowanej z katafalku trumnie. Śpiewający ponuro popi idą naprzód w żałobnych kapach i z trójramiennym krzyżem, a ja w spojrzeniu każdego przechodnia, mijającego kondukt, czytam wyraźnie uczucie mego własnego, dzieciennego buntu. Przecież my tu u siebie, w naszym domu! Jakiem prawem ci wrody, zbrojcecy goście!?

Z czasem odwiedzanie tej mogiły stało się doroczną, obowiązkową, wiosenną pielgrzymką, poważną, ale nawet nie smutną. Grób Pawła leżał pod murem w zapuszczonym kącie prawosławnego cmentarza. Cmentarz leżał daleko za miastem, prawie w polu. Po złożeniu wianka chodziło się oglądać napisy na grobach, których wroga obcość odejmowała tej wędrownicy nieodzowną część skupienia i powagi. Wracając mi tam zawsze nienawistne uczucie z dnia pogrzebu. Świeżo rozkwitające fiołki, których nie śmiałam zrywać z cmentarza, ale za którymi szłam, jakbym istotną wiązkę zbierała, doprowadziły mnie raz do kamiennej ławeczki za krzakiem kwitnącej czeremchy. Przysiadłszy tam, zobaczyłam na omszałym kamieniu najbliższego grobu nawpół zatarte litery. Mozoliłam się długo, zanim zdołałam odczytać:

„Nie chełp się tu, przechodniu, ani lżyj proch i kość:
My w domu, a ty gość.“

Dziwna treść napisu uderzyła mnie tak mocno jawną sprzecznością z przepełniającymi mię uczuciami, że zabiła od razu odruch wszelkiego sprzeciwu. Nie rozumiejąc, wchłonęłam w siebie jej słuszność. Tak, oni tu są w domu. Dlaczego? tu, w sercu naszej ziemi! Oni, krzywdziciele!—Daremnie starałam się obudzić słowami żywe jeszcze przed chwilą uczucia. Nowa, nieodparta prawda triumfowała. Przerastała o całą otchłań wszystko, przeżyte przezemnie dotychczas.

Czułam ją jakimś głębokim dnem, choć właściwie może tylko nie czułam jej zaprzeczenia. Poprzez cały bunt, poprzez całą nienawiść dzieciennego serca przesączała się skądś, z poza życia, nagła, ogromna pustka. Tylko jakgdyby puste miejsce, przygotowane niewiadomą ręką na coś innego, coś większego, co przyjdzie. Było słonecznie i cicho. Mocnym niebem przepływały obłoki. Żyzna, cmentarna ziemia dyszała wiosną. Nad fiołkami, których nie śmiałam zrywać, brzęczały pierwsze pszczoły. Tuż nademną w krzaku czeremchowym jakiś malutki ptak zanosił się od radosnego świergotu.

MAX WIT

5)

KRYSTAŁOWA KULA

Poraz pierwszy myślał z niechęcią o Lenie: — Ileż w niej egoizmu! Samiczego pożądanego! Oto wieczysty problemat Ewy, uwodzącej Adama! — Czuł się w tej chwili Adamem, wyganianym z raj. Nie wiedział, czy prarodzie narzekał wtedy na swą towarzyszkę, — on jednak z pewnością był bliski złorzeczeń, — przynajmniej, gdy zasiadł do biurka, zaklął siarczyście.

* * *

Pytanie Leny zaskoczyło Listera; wywinął się, coprawda, po mistrzowsku; ale zbyt uczciwy, aby zupełnie zapomnieć, na zimno przystąpił z całą powagą do rozważania i zanalizowania tej kwestji. Przed ślubem zdawało mu się, że doskonale wiedział, poco się żeni; teraz jednak, w świetle nowych faktów, uwiłkłał się w szereg sprzeczności, zbłąkał w labiryncie i zgubił nić przewodnią. Jeśli jej przypadkowo nie odszuka, od razu zostanie skazany na długie, przykre błędzenie; obawiał się właśnie tej złowieszczej możliwości.

Tymczasem gorączkowo uprzytomniał sobie motywy, które go skłoniły do małżeństwa. A więc, przede wszystkim, zaciążyła mu samotność: wykwitły jakoweś chwasty tęsknoty, potrzeby kogoś bliskiego obok siebie. Nie miał przecie żadnej bliskiej rodzi-

ny, a o dalszej nic nie wiedział. Pozatem zbliżał się szybko do czterdziestki, owych niebezpiecznych lat mężczyzny, kiedy się raz nazawsze myśli o stabilizacji swego życia. Zarabiał o wiele więcej, niż mógł wydać i potrzebować; ciążyła konieczność ustawicznego myślenia o swoich niezbędnych potrzebach; towarzystwo starej, gderliwej gospodyni obrzydło do ostateczności. Przyprawiało o niestrawność.

Małżeństwo rozcinało od razu splot tych wielorakich kwestyj. Wybrał Lenę, bo mu się bardziej od innych znanych panien spodobała; wybrał bez uniesień, chłodno i rozumnie. Mógł sobie conajwyżej wyrzucać, że ją nietylko wybrał, ale i pokochał. Miłość—czynnik irracjonalny, nieprzewidywany i nieoczekiwany—stanęła między nim, a kobietą. Wyolbrzymiała zadowolenie w szczęście, ale doba była zbyt krótka, a Lister nie umiał pogodzić miłostnego szczęścia z pracą, radości—z obowiązkiem. Porywał go ogrom intensywnego uczucia kobiety, zatapiał się w niem pożądliwie, tęsknił do pieszczoty jej małych rąk—i gorzkie sobie czynił wyrzuty za sprzeniewierzenie pracy. To rozdwojenie stało się źródłem cierpienia, zrodziło niechęć do Leny, zapleniło w nim gorycz, rzucało cień na jego wewnętrzny stosunek. Obwiniał ją, że egoistycz-

nie rozbija mu życie, że nie wnika w ustalony od lat porządek zainteresowań, że stwarza nieprzeparte pokusy, że, zdobywając w nim kochanka, idącego po linii namiętności, gwałci mężczyznę - pracownika. Spychał z siebie cały ciężar wyimaginowanej winy, pozwalał na rozkrzewienie niechęci, utajonej na dnie, wreszcie doszedł do kresu tej drogi uciążliwej: prosto postawił tezę, że nie kocha już Leny, iż, być może, nie kochał jej nigdy, lecz dał się uwieść czarowi dziewczyny, że głos zmysłowego jeno pożądania przybrał nieświadomie w szaty najdoskonalszego uczucia, omamiony egzaltacją kobiety.—A więc kłamał, okłamywał ją i siebie! To poniżało jego godność, sąd o sobie, wystawiało pod pręgierz — wszystko zaś było jej winą! Jeśli Lena nie mogła przeniknąć i zrozumieć jednostronnej pracy swego męża, nie znajdując w niej miejsca dla siebie,—Lister nie rozumiał całej jej dobrej woli i miłości, którą go darzyła.

* * *

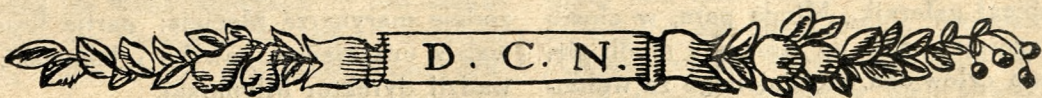
Czas płynął szybko, ale szybciej od czasu pogłębiała się otchłań zła, drażąca nieustępliwie i cierpliwie świadomość Listera. Budził się rano z ogromnym poczuciem niechęci do Leny; cyzelował żal w ciągu dnia, wracał do domu prawie rozjątrzony, zaprzysięgając sobie, że potraktuje żonę chłodno, surowo, w sposób prawie brutalny, aby zrozumiała, że nie ma zamiaru roztopiać się i marnować w jej wątych objęciach, że ma coś ważniejszego do zrobienia, że wogóle ma dosyć tej całej babskiej tkliwości, potrzebnej raczej małym, niezdarnym dzieciakom, lub pławiącym się w nieróbstwie gołowąsom z modnych kawiarni, że przeciwnicy jego zapominają o jego egzystencji i któryś z pismaków brukowych osniewił się nawet polemizować na temat dawno już napisanej i prawie zapomnianej rozprawy — wszystko to chciał jednym zamachem, niby wielkie brzmie, zwalić u nóg Leny, iżby wiedziała i wreszcie rozumiała, że nie ma prawa w obliczu tych spraw nic żądać dla siebie!

Jednak, gdy stał przed nią, gdy podnosiła swe drżące powieki, ogarniała go miękkim spojrzeniem oczu i wtulała w klapy marynarki—zapominał o wszystkim: o pracy, o tem, że jej przecież nie kocha, że go niszczy, rozbija! Poddawał się tęsknocie, miękł w pieśczości, jak stary, syty, bardzo łagodny i bardzo oswojony kot.

Lena triumfowała na rumowisku obowiązków Listera. Nie wiedziała, że uczucie jej jest źródłem rodzącego się w Listerze konfliktu tragicznego. Dla prostonijnnej natury Listera to sprzeniewierzenie się sobie było początkiem klęski niezachwianego stanowiska życiowego. Ratował go jednak absolutny brak hamletyzmu i, pomimo wszystko, prymitywny stosunek do

życia. Nie mógł walczyć z urokiem kobiety, ale znajdował odtrutkę w niechęci, którą hodował zapobiegliwie i starannie.

Z ziarna niechęci gotowa była wykiełkować nienawiść. Zląkł się tej ostateczności, został nią zaskoczony: zdawało mu się, że ziemia nagle zapłonęła pod stopami. Musiał ratować Lenę i siebie. Poraz pierwszy od wielu lat poczuł się ogromnie nieszczęśliwy. Zgubił się w nawale nowych, zupełnie nieznanych sprzeczności, — ratunek był jeden: ucieczka od domu, od Leny, od jej pochłaniającej miłości. Wyszukał pierwszy lepszy powód i wyjechał, zostawiając zdumioną, nic nie rozumiejącą żonę. W wagonie odetchnął swobodnie: był znowu wolnym, swoim własnym Listerem! Mógł robić z sobą, co mu się żywnie podoba, jego słabość, niemoc i miłość zostały daleko poza nim. Z tkliwością wspominał stare, dobre czasy kawalerskie, gderliwą, nudną gospodynię — przynajmniej nie zdręczała go egzaltacją uczuć! O Lenie myślał z pogardliwą niechęcią, właściwie nie czyniąc żadnych planów na przyszłość; usiłował nie myśleć o niej wcale i wierzył, że uda mu się to najzupełniej. Trwał w rozkosznym uczuciu wyzwolin! Codziennie sumiennie maszerował na dworzec i ostatnim pociągiem przesyłał dwie paczki: grubą, szarą kopertę—do redakcji — plon uczciwego roboczego dnia, i małą kartkę—do żony: „Jestem zdrow; przetrzymuję mię sprawy ważne, niecierpiące zwłoki; wszystko w porządku, całuję paluszki.“ Lister uśmiechał się doprawdy do obrazu Leny, ilekroć wypisywał codzienną kartkę. Uważał, że w ten sposób spełnia i celebrowuje wszystkie, ciężące na nim, obowiązki męża. Tymczasem wyrównywał zaległości dziennikarskie: z lubością przewijał przez zwoje mózgowie problemat parlamentarnego kryzysu w całej Europie, układał kapitalny paszkwil na socjalistyczny rząd w Norwegji, który w ciągu dwóch tygodni nawarzył takiej kasy, że solidny, ospały storting zbudził się z drzemki i wierzgnął, jak osioł, smagnięty batem; poważnie omówił kwestje arbitrażu i myślał o możliwościach nowej blokady Rosji; o wielu jeszcze innych sprawach myślał i pisał Lister. Rozprawił się z owym niemrawym pismakiem, zwrócił skromną uwagę temu i owemu redaktorowi, zagroził, gdzie potrzeba, cisnął w stronę pisemka parę zjadliwych uwag, ostrzeżeń i otarł łezkę żalu po dziennikarzynie, gdy go zapewniono, że biedaczyna może się już zająć wszystkim, że dla prasy umarł beznadziejnie, bezpowrotnie. Lister cieszył się z psiego figla; postanowił dać mu posadę sekretarza u siebie. O ironjo losu! Niech wie człeczyna, że Lister Day, to nie byle kto, niech wie! Czuł się bardziej sobą, niż kiedykolwiek i, waląc rankiem swą ulubioną piłkę, powtarzał z zaciętym wyrzutem:



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Wyzwolony” — opera w 1 akcie Adama Wieniawskiego.
Divertissement baletowe.

Forma jednoaktowa zyskała we współczesnej operze największe powodzenie; w czasie, gdy powieść zrezygnowała z fabuły i ograniczyła się do skrótów psychologicznych, współczesny teatr operowy wybrał formę o krótkim, jednoaktowym oddechu, dla utrzymania słuchacza w ciągłym napięciu, nieprzerywanem antraktami i nużąca, czasem długotrwałą zmianą dekoracji. Dwie jednoaktowe opery Manuela de Falli i jednoaktowy balet tegoż kompozytora, przeznaczone na wypełnienie jednego wieczoru w „Opéra comique” w Paryżu (wszystko to o zabarwieniu, melodji i rytmice hiszpańskiej), mają daleko większe powodzenie, aniżeli inne, równie dobrze napisane, ale trzyaktowe opery, których treść słuchacz musi jednak uważnie śledzić przez cały wieczór.

Jednoaktowa opera Adama Wieniawskiego „Megaë” weszła na stałe do repertuaru opery warszawskiej nie tylko dzięki muzycznej wartości dzieła, która wzbudziła wielkie zainteresowanie dla jej autora, ale także dla formy, pozwalającej na urozmaicenie wieczoru. Adam Wieniawski upodobał sobie formę, najstosowniejszą w dzisiejszych warunkach; po wystawionej przed rokiem „Megaë” ostatnią premierą w tym sezonie była opera „Wyzwolony”. Wybór libretta nie był tym razem bardzo szczęśliwy; dramat Villiers de L'Isle Adama, przerobiony na libretto operowe, miał wiele momentów, kolidujących z muzyką już w samym założeniu, a także z muzyką Wieniawskiego.

Pagnol, zbiegły galernik, i marynarz Maciej planują morderstwo rabunkowe na pewnej parze nowożeńców. Maciej usługuje przy uciesie weselnej i dolewa młodej parze narkotyku, wie bowiem o tem, że pan młody ma przy sobie cały posąg swojej pięknej żony. Role są podzielone: zadaniem Macieja jest dołanie narkotyku, którego działanie powinno się zacząć w ściśle określonym czasie, właśnie wtedy, kiedy po przekroczeniu nowego domowego ogniska przez młodą parę, galernik Pagnol w stosownym momencie będzie mógł popełnić morderstwo i obrabować portfel pana młodego, aby podzielić się zdobyczą ze swoim zbrodniczym towarzyszem. Pagnol czeka; wokół niego skupia się akcja, szarpie jego duszę bandyty i, zanim dokona się przemiana, wywołuje na jego usta plugawe, ordynarne słowa. Pierwszą ofiarą zbrodni będzie stara niańka, która z tklivością oczekuje nowożeńców. Potem kolej na „dwoje gołąbków”! Wchodzą młodzi małżonkowie i, zanim narkotyk działać zacznie, jeszcze raz wyznają sobie miłość. Nagle pada strzał armatni: to sygnał, że zbiegł galernik. Młoda para, w chwili największego szczęścia, pada na kolana i modli się, aby nie schwymano człowieka, stęsknionego za wolno-

ścią. Pod wpływem czystych uczuć tych dwojga ludzi w Pagnolu dokonywa się zupełna przemiana. Nie zamorduje już bezbronnych i uspionych rychło nowożeńców; nie myśli o ucieczce przed pogonią, która niebawem wpadnie na jego trop, ale spokojnie oczekiwać będzie słusznej kary, widząc jedynie w śmierci wyzwolenie od życia potępionego bandyty.

Opery werystyczne przyzwyczaiły nas do ponurej akcji; przywykliśmy widzieć na scenie nóż, truciznę, krew kapiącą, rozstrzelanie, — niema więc efektów, któreby mogły na nas silniej oddziaływać, aniżeli te, któremi raczył publiczność — Puccini. Ale dla bohatera z tych „ogrodów udręczeń” słuchacz i widz miał zawsze sympatję. Akcja była mocna, jednakże okupował ją liryzm postaci operowych i słodczy kantyleny. Pagnol jest wstrętny: razi nas przedewszystkiem jego szpetna maska bandyty, dla której muzyka nie może się zdobyć na cieplejszy ton; kaleczy nam uszy słownictwo z Pawiaka, które oby najrychlej znalazło synonimy, odpowiednie do śpiewu i muzyki! Niechęć, jaką mamy dla Pagnola, pozostanie nam już do końca akcji; nie wzruszy nas jego przemiana, i oddychamy z ulgą na widok włożonych mu na ręce kajdanków. Jeśli chodzi o liryczne postacie „Wyzwolonego”, to na idealną miłość pana młodego rzuca cień portfel, wypchany posagiem panny młodej, podobnie, jak w sprzeczności pozostaje tradycyjna kolęda polska, wpleciona do modlitwy ludzi w strojach biedermyerowskich, na tle, dla polskich motywów zupełnie obcem. Jednakże niewdzięczne libretto otrzymało bardzo dobrą oprawę muzyczną, w której autor bez przesady, z umiarem, używa harmonij dysonansowych, stosowanych zresztą programowo, dla podkreślenia zbrodniczych instynktów swego bohatera. Taka postać, jak Pagnol, może mieć tylko silne akcenty dramatyczne, ale mało miejsca dla frazy śpiewaczej, a ponieważ ona jest osią akcji, niewielką pozostaje rola dla kantyleny. Wieniawski jest maestrem kantyleny, ale tym razem libretto sprzysięgło się przeciw melodji w muzyce ostatniej jego opery, w której zarówno świetna faktura orkiestrowa, jak i barwna instrumentacja podporządkowane są akcji dramatycznej i śpiewakom, jednakże z tem zastrzeżeniem, że muzyka Wieniawskiego obchodzi się z nami daleko subtelniej w swojej grozie, aniżeli dramat de l'Isle Adama.

Pagnola śpiewał Wraga, który ze swojej roli wokalnie i dramatycznie wywiązał się najlepiej. Piękny głos Mossakowskiego zabłysnął tylko na chwilę w epizodzie marynarza Macieja; partje liryczne interpretowali z uczuciem Lipowska i Janowski; orkiestrę prowadził dyrektor Młynarski.

Baletowe uzupełnienie wieczoru niezawsze było na poziomie teatru operowego. „Bajka“ Moniuszki w układzie choreograficznym Parnella jest dość monotonnym tańcem plastycznym, o tyle może zajmującym, że odmiennym od dotychczasowego szablonu;— banalna druga „Rapsodja“ Liszta i całe, udatne zresztą bardzo, „Divertissement“ baletowe, przyjęte żywo przez rozbawioną publiczność, czyniło wrażenie programu w dobrem „Variété“.

P. L.

Z ŻYCIA EKRANU

(Sport na ekranie — Teatr w kinie — Człowiek salonu)

Kino — to ruch, kształt i światło. Ale przede wszystkim — ruch. Dlatego też kino upodobało sobie sport, znajdując w nim dla siebie ciągle nowy materiał. Rytmiczno-ruchowy obraz, tworzony, naprz., przez wioślarzy, jeźdźców, pływaków, łyżwiarzy—jest podstawą zadowolenia estetycznego, które nam daje zarówno w naturze, jak na ekranie. Ale ekran jest jeszcze w możliwości spotęgować i urozmaicić te wrażenia przez analizę procesów, których w naturze nie jesteśmy w stanie pochwycić: na ekranie mamy jeszcze zetknięcie z materją, jej opór i przewycięzanie (wiosła, łódka, pływak w zetknięciu z wodą; narty i śnieg; łyżwy i lód; żagiel i wiatr i t. p.).

Taka jest strona wizualna sportu na ekranie. Prócz niej jednak istnieje jeszcze strona emocjonalna, której zawdzięczamy tak często widywane w obrazach filmowych zawody sportowe (wszelkiego rodzaju wyścigi, boks, fechtunek i t. d.), będące ostatecznie głównie grą o coś, co jest do zdobycia (miłość, majątek). Taką rolę przynajmniej odgrywał sport w filmach dotychczasowych. Dopiero od niedawna gra sportowa staje się sama dla siebie celem, stanowi jednocześnie oś i tło akcji (nie mówię tu o filmach dokumentalnych, lecz o anegdotycznych). Takimi właśnie są filmy z cyklu „Collegians“, zaczerpnięte z życia studentów amerykańskich, takim jest ostatni, wyświetlany u nas, film Harolda Lloyda p. t. „Męczennik sportu“. Tu już nie chodzi o jakiś sportowy epizod, ale o odbicie współczesnego życia, w którego całości kształcie sport stanowi poważną pozycję — jest potężnym motorem, regulującym dynamikę uczuć tłumów. Patrząc na olbrzymi stadjon („Męczennik sportu“), w którym wielotysięczny tłum robi wrażenie, jakgdyby oddychał jedną pierśią i jakgdyby biło w nim jedno serce — nie możemy w pierwszej chwili uwierzyć, że tem, co wywołuje tę zbiorową ekstazę, szal radości, czy pogardy, jest tylko... partja „rugby“! Jednakże po kilku minutach — nie znając się nawet zupełnie na zasadach tej gry — jesteśmy wciągnięci w wir walki, mamy swą protegowaną drużynę, której życzymy zwycięstwa, gotowi jesteśmy



Adolphe Menjou w filmie p. t. „Grzeszki markiza de Marignan“
Photo Paramount

zwycięzcę sami wziąć na ramiona — słowem, ulegamy hypnozie sportu, no i... reżysera, który biernych widzów kinowych w ciągu kilku minut przetwarza w pełnych temperamentu bywalców trybun. Oto potęga współczesnych „circenses“ i — magji ekranu.

Już choćby w tych filmach sportowych widzimy, jak daleko odbiegliśmy od kina, tkwiącego korzeniami w teatrze. A jednak, mimo to, bywają komedje filmowe, oparte całkowicie na pierwiastkach teatralnych, które dziś jeszcze uważamy za doskonałe. Nasunęło mi się to przy wznowionej ostatnio komedji amerykańskiej, w reżyserji Lubitcha, p. t. „Całuj mnie jeszcze“. Zdawałoby się, że po licznych cudach, które nam kino ostatnio pokazało—wszystko, co na ekranie „trafi“ teatrem, przywalone zostało na wieki grobową płytą. A tu nagle widzimy, że tak nie jest. Ten „teatralny“ film doskonale nas bawi, i, gdyby nie niemożność suknie, wcalebyśmy o jego sędziwości (6—7 lat) nie pamiętali. Wprawdzie są tam sytuacje, które tylko kino ma możliwość tak dowcipnie podkreślić (wzajemne odprowadzanie się mężów: — „Byłego“ i „przyszłego“, albo — scenka z pianolą), niemniej jednak w samym założeniu tego filmu niema żadnych pierwiastków kinowych. Ta stara gra między Nią, Nim i Tym Trzecim — toż to przecie czysty teatr! a Lubitch rozwinął tam tyle finezji, dowcipu i subtelnego humoru, że mógłby mu pozazdrościć niejeden komedjopisarz. I tu nasuwa się interesujące pytanie: dlaczego w naszych filmach, nawet z plein'airami, bójkami, poje-

dynkami—jest taki mały procent kina i są one raczej fotografowanymi powieściami, czy sztukami teatralnymi, gdy tymczasem w tej nawskroś teatralnej komedji to—że się tak wyrażę— „dziedziczne obciążenie“ nie psuje ani na chwilę jej kinowości?

Kiedy już mowa o amerykańskiej komedji, nie mogę nie wspomnieć o jednym z jej filarów—o Adolfie Menjou*). Jest to aktor, który, zdawałoby się, może mieć pole do popisu jedynie na scenie (choć nie wiem nawet, czy był kiedykolwiek aktorem teatralnym). Menjou nigdy nie popisuje się swem wyrobieniem sportowem, nie skacze po stołach, nie fechtuje się, nie szaleje w aucie — jest nieładny i ma niemłody wygląd. Zato nosi w sposób nieskazitelny frak, cylinder i... arystokratyczne nazwiska odtwarzanych przez siebie bohaterów. Zdawałoby się, że dla kina to niewiele.

A jednak Menjou jest w swoim rodzaju unikatem, w świecie „gwiazd“ wielce cenionym. Menjou jest światowcem, ale światowcem, który reprezentuje „świat ginący“ już i stąd może jego urok. Wierzmy, że Menjou zna się na koniach, że lubi wyścigi i polowanie, że sam jest dobrym jeźdźcem, ale nie wyobrażamy go sobie, jako rekordzistę w wyścigu samochodowym, zwycięzcę w „rugby“, lub niebezpiecznego rywala w boksie. Menjou może uprawiać sport, ale nie będzie nigdy sportowcem. Menjou zna świat i ludzi, o czym świadczy jego mądry i jakże ironiczny! uśmieszek — umie żyć, zna smak i cenę wszelkich rozkoszy, od intelektualnych do... kulinarnych. Menjou lubi wszystko, co jest pianką życia; to też, z dystynkcją światowca i znawstwem epikurejczyka, krąży pomiędzy teatrem, a... dobrą restauracją, między salonem a bu-duarem, zewsząd biorąc tylko to, co sam zechce. Nie jest niewolnikiem swych namiętności, bo ich nie posiada; posiada tylko—upodobania. Patrząc na niego, wierzymy że jest raczej właścicielem bogatej biblioteki, niż — ukochanej żony. Zbyt ceni niezależność i swobodę.

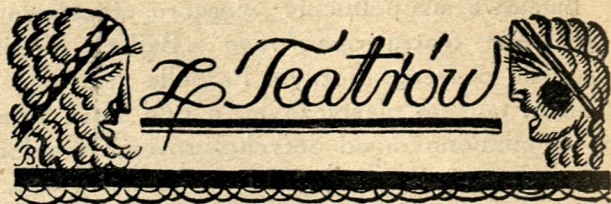
Nie wiemy, czy potrafi być dobrym mężem i gorącym kochankiem, ale chociaż nie słyszeliśmy odeń ani jednego słowa — możemy ręczyć, że jest czarującym „causeur'em“, dowcipnym, błyskotliwym i wykwinnym — człowiekiem przedwojennego salonu.

Takim jest Adolf Menjou, znany nam z ekranu.

A jakim jest w życiu? Nie wiemy i nic nas to nie obchodzi, bo dla nas tylko tamten, z ekranu, jest realny.

Stef. H.

*) Ostatnio widzieliśmy go w „Szkole paryskiej“ i „Brunetce i blondynce“.



TEATR MAŁY:

„Oto kobieta!“ (The constant wife) komedja w 3 aktach
W. S. Manghama. Przekład Feliksa Tretera. Reżyserja Władysława Ryszowskiego. Dekoracje Karola Fycza.

Teatr przyzwyczał nas do tyłu krzyków, wrzasków, jęków, pisków, paplaniny, szlochów, spazmów, szeptów i westchnień kobiecych, że zjawienie się na scenie kobiety, która nie deklamuje i nie szczebiocze, ale mówi, mówi tylko to, co chce powiedzieć, tylko tyle, ile ona uważa za potrzebne, znacznie mniej, niż tego od niej żąda otoczenie, mówi głosem spokojnym, równym, obywającym się bez płomiennych wykrzykników i bolesnych załamań, wygłasza z prostotą rzeczy mądre, nie wpadając w nudne rezonerstwo — że samo zjawienie się takiej kobiety na scenie musi wywołać podziw, graniczący z niepokojem.

Dodajmy, że ta kobieta przeżywa z pogodą mędrca i ze słodką wyrozumiałością matki jedną z nabolesniejszych tragedji serca kobiecego: cichą tragedję żony, zdradzonej przez męża z jej najserdeczniejszą przyjaciółką,—a staniemy wobec pozornej zagadki, do której klucz da nam zresztą sam autor. Uczyni to jednak w sposób tak paradoksalny i wykrętny, że długo będziemy się wahać, czy to klucz, czy to wytrych, i czy otwarcie tajemniczych drzwi małżeńskiego konfliktu nie jest czasem pospolitem włamaniem.

Pani Konstancja Middleton męża nie kocha. Jest do niego tylko przywiązana. Wie, że po piętnastu latach pożycia najsilniejsza namiętność musi zgasnąć, ustępując miejsca uczuciom mniej dynamicznym, ale może pewniejszym i trwalszym. Wie również dobrze o tem, że jej czternastoletnia córka jest znacznie dojrzała od swego czterdziestoletniego ojca, że mężczyźni pozostają zawsze dużemi dziećmi, że, jak dzieciom, potrzebna im jest zabawka, i dlatego uważa za rzecz zupełnie naturalną, że mąż ją zdradza, pozostając jednocześnie najlepszym mężem i wzorowym ojcem. „Niezlomna kobieta“ nie żywi nawet najlżejszej urazy do swej rywalki; jednego tylko nie może jej darować: że się dała złapać. I tu następuje powtórzenie mistrzowskiego efektu Wilde'a z wachlarzem Lady Windermore. Tylko, że u Manghama, zamiast wachlarza, figuruje papierosnica, i że się odwróciły role. Tam kurtyzana ocala opinię kobiety uczciwej, tutaj „kobieta niezłomna“ ratuje od katastrofy „puszczającą się“ gaskę.



Skandal został zażegnany, ale wszyscy oczekują od Konstancji Middleton wybuchu. W powietrzu jest tyle elektryczności, że wyładowanie jej sprawiłoby ulgę całej rodzinie. Ale Konstancja Middleton nie wybucha. Nie myśli rozwodzić się z mężem. Tę niepotrzebnie skomplikowało jej życie. Nie ma zamiaru go zdradzić, ani porzucić—chce mu tylko dać pogładową lekcję życia.

Czyni to, jak genialny wirtuoz i jak wytworny smakosz, który uznaje rozkosze tylko w najlepszym gatunku i według własnego wyboru, nie wedle smaku innych. Mężczyzna nigdyby nie mógł stanąć na tej wyżynie godności, wyrafinowania, spokoju. Porwałaby go namiętność, poniosłaby go ambicja samca, zagrożonego w stanie swego posiadania. Na tej właśnie ambicji zagrała po mistrzowsku Konstancja Middleton i wygrała stawkę. Rozbudziła w sercu męża uśpioną miłość, rozbudziła ją po szesnastu latach pożycia, równą młodzieńczej namiętności, ale wzbogaconą tym skarbem poświęcenia, jaki ukochanej kobiecie ofiarować może tylko mężczyzna zwyciężony—nie zwyciężający.

Mąż Konstancji nie jest pewny, czy żona jego wyjeżdża na sześciotygodniowy urlop sama, czy z kochankiem, a jednak na jej kategoryczne zapytanie:

— Czy mam powrócić do tego domu? — odpowiada:

— Wróć! Jesteś najkapryśniejszą, najczarowniejszą kobietą pod słońcem!

Otóż to, drogie pani! Umieście być dla męża nietylko niezłomnymi w cnocie, ale najczarowniejszymi kobietami nawet po szesnastu latach pożycia, a możecie być spokojne o całość ogniska rodzinnego. A przytem, jak Konstancja Middleton, postarajcie się w porę o niezależność materjalną. To sprawy nie rozstrzyga, ale każdą sytuację znakomicie upraszcza i ułatwia. To usamodzielnienie się materjalne umożliwiło Konstancji nietyle rzekomą eskapadę, co danie życiowej lekcji mężowi i ostateczne zdobycie sobie jego serca. Mężczyzna, nawet najszlachetniejszy, najmocniej kocha kobietę wtedy, kiedy się ją boi utracić. Podobnie, jak dziecko, któremu ktoś chce zabrać ulubioną zabawkę, odda wszystkie kosztowne cacka, byleby zachować tamtą, zagrożoną, choćby nią była stara, sypiąca trocinami lalka, z urwaną nogą i w podartej sukience.

Trudną, nieco kamienną postać Konstancji pani Przybyłko-Potocka ożywiła tchnieniem wiekuistej kobiecości i wyjątkowego talentu aktorskiego. Przez cały ciąg akcji była panią wytworną w najszlachetniejszym stylu. Jej angielską flegmę i wstrzemięźliwość gestów równoważył niepokojący uśmiech Giocindy, pod którym, jak pod maską, wyczuwało się tajemnicę. Szczytem finezji był pocałunek, przesłany na pożegnanie niegdyś swawolnemu, a teraz już doskonale wziętemu w karby mężowi. Tak pierwszorzę-



Scena ze sztuki: „Oto kobieta“ w teatrze Małym
Marja Przybyłko-Potocka i Boelke.

ny jeździec rozstaje się z ulubionym koniem, któremu dał dobrą szkołę.

Od spokojnej sylwetki Przybyłko-Potockiej odbijała kapryśną temperamentową linią p. Romanówna, w roli rozkosznej i przesłicznie upierzonej samiczki. P. Modrzewska dała pyszną karykaturę starej panny angielskiej—zacnego drągala w kostjumie tailleur i w okularach, który dobrowolnie zatarł w sobie wszystkie cechy kobiecości.

Panowie Grabowski, Boelke i Grosicki starali się, jak mogli, chociaż nieprzyjemnie musi być grać trzech mężczyzn, wywiedzionych w pole przez jedną kobietę. Ale nie martwcie się, panowie! ta jedna kobieta ma rozum za was trzech, a siłę woli—za dziesięciu; jest przytem tak czarująca, że nawet i to można jej wybaczyć.

{S. P. O.

TEATR POLSKI:

„Broadway“ — sztuka w 3 aktach Ph. Dunninga i G. Abbota.
Przekład J. E. Rychlińskiego. Reżyserja L. S. Schillera. Dekoracje St. Śliwińskiego.

Wychodzi się z tej sztuki z głową ciężką od kabaretowego zaduchu, od wyziewów krwi i wódki, od huków jazzbandu, strzałów rewolwerowych i pękających korków szampana. I, pomimo sceptycznego nastawienia wrażliwości, pomimo postawionego a priori pewnika, że to wszystko tylko „amerykańska bujda“ ot! takie, odmienne nieco, wydanie „Pociągu-widma“, tylko bez duchów, zato z upiorami ludzkich bestyj—ma się na tem przedstawieniu takie chwile doskonałego zadowolenia artystycznego, jakie może dać tylko dobra sztuka, świetnie zagrana.

Dodać należy, że to jest przysmak dla rozmaitych podniebień. Przeciętą publiczność znajdzie tam efekty „wagonowej” literatury i gęsią skórę na funty. Radykał społeczny będzie bił brawo po przesłicznej więziennej piosence o fotelu elektrycznym. Urbanista nałyka się nastrojów, godnych „symfonji wielkiego miasta.” Bywalec kabaretowy będzie miał tużin pierwszorzędných nóg kobiecych i szereg „numerów,” które mogłyby być ozdobą stołecznej rewji. A teatroman — zachwyci się świetną robotą sceniczną, w której każdy szczegół jest wyzyskany, każdy ma swoje miejsce, właściwe oblicze i wyraz.

Ludzie w tej zakulisowej rewji małych i wielkich namiętności są też tylko szczegółami. Po ich radościach i troskach, bólach i tragedjach przetacza się w nieustającym pędzie koło życia. Pajac kocha się naiwnie i szczerze w swojej Colombinie; bandyta uwodzi głupią i niewinną dziewczynę; mordują bezbronno człowieka; detektyw zarzuca pajęczą sieć na swą ofiarę; uliczna dziewczyna bez jęku osuwa się na ziemię na wieść o śmierci kochanka — a świetlny automat wyrzuca pokolei numery programu, który rozgrywa się tam, za sceną, i któremu wszystko, nawet śmierć, ustąpić musi z drogi, bo on jest najważniejszy. Ślepy, raz nazawsze ustanowiony program życia. Publiczność czekać nie może. Dzwonek inspicjenta przerywa wyznania kochanków, a nienarodzony jeszcze pocałunek wykrzywia w potworny grymas płatnego błazeństwa.

Sztuka daje cały szereg popisowych ról. Najszersze pole do popisu miała Modzelewska: pokazała nam swoją grę, taniec, śpiew, nogi, a właściwie mówiąc, niemal cały swój akt, z drobnymi wyjątkami. Wszystko było bez zarzutu. Samborski, jako herszt bandy, szmuglującej alkohol, i Fritsche w roli detektywa zrobili sylwetki, wycięte z autentycznego amerykańskiego filmu. Inscenizacja Schillera, która z zasady „grzebie” każdą sztukę o podkładzie ideowym, tę nietylko postawiła na nogi, ale chwilami uskrzydlała niespodziewaną poezją. Przekład Rychlińskiego, świetnie posługujący się gwarą bandycką, zachował całą tęgość oryginału. Piosenki, utrzymane w kolorycie środowiska, miały urok dziecka ulicy. S. P. O.



Z KSIĄŻEK

Grazia Deledda: „Ucieczka do Egiptu” — Instytut Wyd. „Sfinks”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności książkę włoskiej autorki cechuje ton, który przywykliśmy odnajdywać w dziełach północnych — duńskich i skandynawskich, pisarzy. Wypełnia ją całkowicie zagadnienie sumienia. Okrety życiowe bohaterów nabierają wody i opuszczają się na dno właśnie dlatego, że w odmęcie istnienia zarzucili oni zbawienny zwyczaj częstego rzucania okiem na cyferblat niezawodnej busoli.

Ucieleśnieniem tej dążności pozostawania w porządku z sobą, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, jest postać nauczyciela. Siłą wypadków zostaje on wciągnięty w lej tragicznego konfliktu: syn przybrany — bierne narzędzie pokus — żona — dławiona zazdrością, i Ornella — wcielenie życiowego, zwierzęcego rozpadu.

Postać Oli — dziewczynki — jak zielony ognik błąka się i przewija w tych mrokach „odwrotnej strony” słonecznej plaży i przepychu włoskiej przyrody.

Wszystkie te postacie stają na drodze nauczyciela, nieustannie dążącego na wyżyny drogą pokuty za grzech młodości. Zostają one niejako wciągnięte w mozół jego wytrwałej pielgrzymki do bram pokoju. Wpływ tego uczciwego dorabiania się istotnych wartości naprostuje wreszcie zmylone drogi wszystkich członków tragicznej życiowej biesiady.

Ocaloną będzie Ornella i zmyte piętno grzechu z jej dziecka. Przerzedzi się dławiąca atmosfera, otaczająca Margę. Brutalna lekkomyślność Nicola przeobrazi się i nasiąknie spokojem. Ojciec bójca zda sobie sprawę, że nie świetlisty szlak miłości, ale twarde lata pokuty odkupią jego czyn.

Wzrok „obłąkanych na morzu” znowu przykuje do siebie busola sumienia. W. B.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI „BLUSZCZU”

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ”:

- Panaít Istrati — „Prezentacja Hajduków”, przeł.: Zoda-Mares
 Walter Angel — „Na arenie cyrkowej”, przeł. Meb.
 Rachilde — „Wieża miłości”, przeł. Halina Zasztowtowa.
 Panaít Istrati — „Kodyn”, przeł. Witold Zechenter.
 Pio Baroja. — „Jarmark głupców”, przeł. Edward Boyé.
 Albertho Ghirardo — „Milache”, przeł. Tadeusz Jakubowicz.
 C. N. et A. M. Williamson — „Miłość i szpieg”, przekł. z ang.
 Artur Schnitzler — „Gra o brzasku”, przeł. Tafi.
 Jack London — „Córka śniegów”, przekł. St. Kuszelewskiej.
 „ „ „Jerry z wysp”, przekł. W. Borudzkiej i M. de Kleista.
 Ilija Erenburg — „Sześć opowieści o łatwych skonach”,

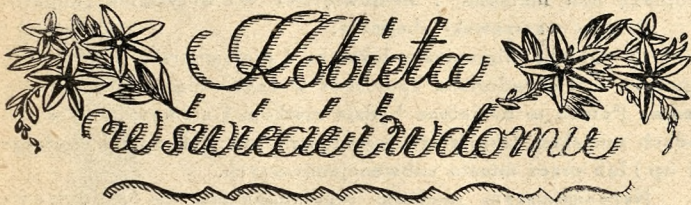
- Ilja Erenburg — „Trzynaście fajek“
 „W przechodniej uliczce“
 „Z motyką na słońce“, przeł. z ros. Binom.
 Awerczenko — „Egzekutor Buraczkow“, przeł. Halina Pilichowska.
 Walentin Katajew — „Defraudanci“, przeł. dr. Brodzki.
 O. Henry — „Kryjówka Czarnego Billa“, przeł. Aleksandek Wat.
 „Czarna Wenus“, pamiętniki Józefiny Baker, zebrał i napisał Marcel Sauvage.
 Teodor Sztekker — „W potrójnym nelsonie“
 Maurycy Larrouy — „Syreny i Trytony“, przeł. Stanisław Poraj.
 Juljusz German — „Jacek“, powieść o prześlicznym chłopcu.
 Stanisław Dzikowski — „Dziewczyna z szaremi oczyma“.
 Antoni Marczyński — „Czarna Pani“.
 „W podziemiach Kartaginy“.
 Jan A. Sławiński — „Biały pióropusz“.

KSIĘGARNIA F. HOESICKA

- Boy-Żeleński — „Mózg i płeć“ — studia z literatury francuskiej.
 Stefan Grabowski — „Klasztor i morze“, powieść.
 Marja Grossek-Korycka — „Pamiętnik liryczny“, poezje.
 Bronisława Ostrowska — „Tartak słoneczny“, poezje.
 Józef Birkenmajer — „Ulicą i drogą“, poezje.
 Janina Hełm-Pirgo — „Kolorowa sonata“, poezje.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“

- Gabriele d'Annunzio — „W odmiecie namiętności“ — przeł. L. Staff.
 Simona Bodève — „Piętno“, powieść, przeł. L. Staff.
 J. K. Chesterton — „Powrót Don Kiszota“, powieść, przeł. F. Mirandola.
 Hall Caine — „Zakładnik“ — przeł. Marja Kreczowska.
 Leo Belmont — „Najpiękniejsze oczy Londynu“ Lady Hamilton — powieść.



ODCZYTY DR. FRANCISZKI SZYFMANÓWNY
 WE WŁOSZECH

Współpracowniczka „Bluszczu“ dr. Franciszka Szyfmanówna wygłosiła w Turynie, a następnie w Genui, w Medjolanie i w Sienie odczyty na temat: „Włoscy artyści Odrodzenia w Krakowie“, które wzbudziły żywe zainteresowanie wśród słuchaczy i w prasie miejscowej. Szereg pism zamieścił obszernie i pełne uznania dla prelegentki recenzje z odczytu.

WYMIANA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ MIĘDZY
 FRANCJĄ A POLSKĄ

W lokalu Stowarzyszenia France-Pologne w Paryżu odbyła się pod przewodnictwem p. ambasadorowej Chłapowskiej konferencja w sprawie wymiany młodzieży szkolnej polskiej i francuskiej podczas wakacyj letnich. Na konferencji był obecny dr. Józef Lewicki, profesor Wolnej Wszechnicy warszawskiej, który przybył do Paryża, jako delegat Tow. wymiany młodzieży. Uznano jednomyślnie za najpraktyczniejsze wzajemne wysyłanie młodzieży francuskiej do rodzin polskich i odwrotnie. W celu przeprowadzenia całej akcji obrano komitet, do którego weszli: prof. Falbierski i Fiszer, pp. de Montfort i Kleczkowski, oraz p. Ménabréa, sekretarz jeneralny Stow. France—Pologne.

O MATERJAŁY HISTORYCZNE W SPRAWIE UDZIAŁU
 KOBIET W WALKACH O NIEPODLEGŁOŚĆ

Komisja historyczna pracy kobiet w walkach o niepodległość, na której czele stoi p. Marszałkowa Piłsudska, ogłosiła następujące wezwanie:

„Udział kobiet w walkach o niepodległość i praca ich w organizacjach pomocniczych dla wojska polskiego nie znajdowały dotąd należytego oświetlenia i dostatecznego uwypuklenia na tle ogólnych wysiłków narodu. Wokoło patriotyzmu i pracy kobiet snuje się tylko pewna legenda, której należałoby kształt żywy nadać i poprzeć jego wymowę przez cyfry i fakty.

Dla tego też celu wzywamy wszystkie byłe członkinie organizacji wojskowych i pomocniczych, by śpieszyły z pomocą w zbieraniu dokumentów i wspomnień osobistych, dotyczących udziału kobiet w ostatnich walkach o wolność. Nie o próżną chwałę nam chodzi, nie o sentymtalne wspomnienie własnego poświęcenia, ale o rzeczywisty, prawdziwy obraz włożonego przez kobiety trudu. Każdy szczegół waszej pracy dla niepodległości winien być utrwalony w suchym choćby raporcie o odbytej służbie dla przekazania go przyszłości.

Odpowiedzi na załączoną ankietę należy nadsyłać przed 1 grudnia 1928 r. do biura historycznego M. S. Wojsk. (Al. Ujazdowska 1), dla komisji historycznej pracy kobiet w walkach o niepodległość.

Wszelkich informacji, dotyczących nadsyłania odpowiedzi na ankietę, udziela komitet wykonawczy na stałych dyżurach w lokalu komitetu przysposobienia wojskowego kobiet (Bednarska 23, drugie podwórze, parter, mieszk. 45-46, tel. 204-28, w piątki 6—7 wiecz.)“.

WARSZAWSKI KLUB WIOŚLAREK NA NOWYCH
 DROGACH ROZWOJU

„Kobieca gospodarka“ Warszawskiego Klubu Wioślarek jest przedmiotem cichej koleżeńskiej zazdrości innych klubów.

Piętnaście lat istnienia — licząc w tem ciężkie chwile wojennych i powojennych kryzysów — to były lata walki o egzystencję i nawet o uznanie racji bytu klubu przez społeczeństwo. Sukcesy sportowe wioślarek powoli przekonywały niedowiarków, — obecnie lody są przełamane, a rok ostatni stał się okresem niebywałego rozwoju klubu i to po linii nowych prądów, manifestujących się równocześnie zapałem i karnością sportową oraz tendencją społeczną w sensie demokratyzowania sportów wodnych, tak zdrowych dla kobiety.

Otworzyły się tedy podwoje Klubu (który ma teraz lokal, biuro i salę w mieście — Krak. Przedm. 99) szerzej znacznie, niż to dotychczas bywało. Obniżono wpisowe i składki miesięczne, ale nagrodziła to ilość nowych członkiń. Specjalne ulgi w opłatach przyznano uczennicom wyższych klas i studentkom — toteż zaroilo się od młodych sportsmenek, wnoszących więcej życia i przedstawiających lepszy materiał sportowy.

Przystań Wioślarek warszawskich na Wiśle, jeszcze przed paru laty, stanowił jeden mały domek na krypie. Dziś zbudowano solidny budynek ze 100 szatniami (które wobec napływu członkiń już są za szczupłe), z werandą, magazynem i t. d. Dumą przystani jest nowy hangar na łodzie, naprawdę pierwszorzędny, z betonową posadzką, specjalnymi urządzeniami, warsztatem do naprawy łodzi. Na wodzie — porządne pomosty, przy których chwieją się na falach piękne łodzie. Nośność taboru sięga ponad 60 miejsc klubowych, a dwadzieścia kilka na łodziach, będących prywatną własnością członkiń.

Zanim wyjechały z wiosną na Wisłę, wioślarki warszawskie trenowały gorliwie. Zorganizowały w zimie dwa komplety gimnastyczne, które odbyły ogółem 94 lekcje. Uzyskawszy używalność krytego basenu w jednym z klubów sąsiadujących, prowadziły również lekcje wiosłowania, których było około 440.

Wyniki zimowego treningu były tak dodatnie, że obecnie klub stawia sobie za najważniejszy cel zbudowanie własnego basenu zimowego z natryskami i urządzeniami, dostosowanymi do budowy i wytrzymałości organizmu kobiecego. Mając basen, można nie przerywać treningu wioślarskiego w niepogody i można kilkaset osób nauczyć wiosłowania w sezonie zimowym.

Gry ruchowe (siatkówka) i pływanie stanowią dodatkowe zajęcia sportowe wioślarek. Już od wczesnej wiosny osady rozpoczęły wyjazdy na Wisłę. Dzięki energii naczelniczki przystani p. Kożuchowskiej, panuje niezbędna karność wśród członkiń, którym zarząd Klubu stara się uprzystępnąć wyjazdy, a zwłaszcza dalsze wycieczki. Przy wycieczkach łodzią ponad 250 km. drogi, Klub zwraca im 50% kosztów transportu łodzi, co stanowi jedyny większy wydatek tych, bardzo atrakcyjnych, a tanich wypraw. Prawdopodobnie więc w tym roku zasłyszemy o czynach naszych Argonautek wiślanych.

Bardzo słusznie Klub, którego prezeską jest dr. Zabawska-Domosławska, zwraca uwagę na stan zdrowia swych członkiń. Wioślarki mają swą lekarzkę klubową, dr. Reicherównę, która dokonywa badań i prześwietla i nie dopuszcza do przeforsowania się zbyt zapalonych sportmenek.

Są wśród nich typy interesujące: przeważnie kobiety pracujące, młodzież na studiach, są zahartowane od wielu lat miłośniczek sportów wodnych. Klub chlubi się, jako jedną z najdzielniejszych sportsmenek, panią X, matką dorosłego syna!

Wesoły, koleżeński nastrój — tak rozumiały na swobodzie i wodzie, wśród miłego ogrodu przystani, który własnymi rękami uprawiają i zdobią członkinie klubu — jednoczy sympatyczne grono Wioślarek warszawskich.

j. k.

KAZNODZIEJKA WIĘZIENIA KOBIECEGO W HAMBURGU

Słyszeliśmy już niejednokrotnie, że w krajach protestanckich, a także w Ameryce, różne sekty religijne dopuszczają kobiety do pełnienia służby kapłańskiej. Dotychczas były to jednak niesmiałe i sporadyczne wypadki.

Dziś, oficjalny kościół w Niemczech powierzać zaczyna niektóre funkcje kapłańskie kobietom.

Ostatnio, właśnie, niejaka panna Kuhnert została mianowana kaznodzieją więzienia kobiecego w Hamburgu.

Panna Kuhnert jest osobą niezwykle szanowaną i popularną w Niemczech. Po ukończeniu studiów teologicznych poświęciła się całkowicie pracy nad przestępczyniami, niosąc tym nieszczęśliwym istotom ukojenie moralne.

Pierwsze jej kazanie w najsurowszym więzieniu dla kobiet, w Hamburgu, wywołało głębokie wzruszenie wśród słuchaczek.

Fraülein Kuhnert, jako strój urzędowy, nosi długą, czarną suknię i biały, sztywny kołnierzyk, przypominający kołnierzyki pastorów.

H. S.

DOM NAUCZYCIELEK

Grupa nauczycielek w Warszawie zorganizowała spółdzielnię mieszkaniową pod nazwą „Dom Nauczycielek“.

Nie trzeba wiele mówić, by dowieść, jak bardzo ta inicjatywa jest potrzebna. Wiadomo, jak źle, niewygodnie i drogo mieszkają nauczycielki, zwłaszcza samotne, lub mające na utrzymaniu rodzinę.

Spółdzielnia umożliwi im posiadanie własnego mieszkania.

Do spółdzielni mogą zapisywać się nauczycielki wszelkich kategorii szkół publicznych i prywatnych, oraz nauczycielki prywatne. Spółdzielnia zamierza budować domy w Warszawie, przy czym gospodarować chce bardzo oszczędnie. Pod budowę upatrzone są dzielnice odleglejsze, ale mające dobrą komunikację tramwajową, jak Ochota, Mokotów, Grochów.

„Dom Nauczycielek“ przewiduje mieszkania dwu typów: jednopokojowe z kuchnią, łazienką, śpiżarką, alkówką, przedpokojem i takie same — dwupokojowe. Kuchnie będą urządzone w nowoczesny sposób, jako t. zw. kuchnie mieszkalne, co powiększa mieszkanie o jeden pokój, który może być użyty np. na jadalnię.

Nauczycielki, które chciałyby zapisać się do spółdzielni, muszą wpłacić 10% kosztu mieszkania, oraz należność, przypadającą za część placu w stosunku do rozmiarów przyszłego mieszkania. Resztę kosztów budowy, w wysokości 90% będzie się spłacało ratami w ciągu lat 30-tu.

Do spółdzielni „Dom Nauczycielek“ zapisało się już kilkadziesiąt osób, w tem szereg starszych nauczycielek z prowincji, które pragną w stolicy spędzić lata emerytury. Zapisy przyjmuje się nadal (Mokotowska 45 m. 4).

Na czele Zarządu spółdzielni stoi nauczycielka gimnazjalna p. Janina Browińska prezeską Rady Nadzorczej jest p. Klementyna Porowska. Dyrektorem zarządzającym spółdzielni jest również kobieta, p. Stefanja Rogowska.

j. k.

WARSZAWSKI REGULAMIN OPIEKI SAMORZĄDOWEJ NAD MACIERZYŃSTWEM I NIEMOWLĘCTWEM

Radne miasta Warszawy w obecnej i poprzedniej radzie były i są nieliczne — stanowią do 10 proc. radnych — a należą do różnych ugrupowań politycznych. Wszystkie jednak, przy każdej sposobności, przemówieniami i działalnością swą przypominają o sprawach społecznych, w szczególności podkreślając postulaty rzeszy kobiecych.

Dzięki temu, zapewne — choć bez specjalnego powoływania się na akcję kobiet, lub odwołania się do współpracy działaczek społecznych i samorządowych — magistrat warszawski powziął projekt ustanowienia „regulaminu opieki nad macierzyństwem i niemowlęctwem“, nie oglądając się na termin wydania przez rząd zapowiedzianej ustawy o opiece nad matką i dzieckiem, przygotowywanej już w ministerstwie pracy i opieki społecznej.

Z projektem zarządu miasta Warszawy powinny zaznajomić się przedewszystkiem nasze działaczki samorządowe na prowincji, oraz radne i ławniczki innych miast. Powinny wysuwać analogiczne żądania i starać się, by w podobnych rozmiarach rozciągnięto opiekę nad matkami i niemowlętami we wszystkich gminach.

Projekt warszawski obejmuje:

1) Opiekę higieniczno-lekarską i pielęgniarską, 2) pomoc w położu i 3) świadczenia społeczne w czasie ciąży, położu i karmienia. Pomoc ta udzielana będzie matkom i niemowlętom w zakładach miejskich (szpitalach, poradniach, stacjach opieki społecznej itp.) lub przez miasto subwencionowanych.

Najważniejszym punktem regulaminu jest, że 1) do bezpłatnej opieki higieniczno-lekarskiej w poradniach mają prawo wszystkie matki ciężarne, zgłaszające się, matki karmiące i niemowlęta — 2) do bezpłatnej pomocy w położu i świadczeń społecznych ma prawo każda kobieta, uprawniająca do opieki ze strony miasta Warszawy i nieposiadająca środków utrzymania, o ile do tej opieki nie jest obowiązana inna instytucja (np. Kasa Chorych) lub osoba.

A więc opieka ta jest pojęta bardzo szeroko, jest powszechna w stosunku do mieszkanek Warszawy, osób niezamożnych.

Regulamin przewiduje dalej, iż świadczenia społeczne (zapomogi pieniężne, pomoc w naturze, a więc: mleko, pożywienie, odzież, wyprawka dla matki i dziecka) udzielane będą, poczynając od 6-go miesiąca ciąży, i mogą trwać aż do końca karmienia, stosownie do wskazówek poradni higieniczno-lekarskiej, która czuwa nad matką przez cały czas ciąży, a potem i nad niemowlęciem.

Wysokość i rodzaj zapomogi, lub pomocy w naturze ustala zarząd stacji opieki społecznej na zasadzie wywiadu o stanie materialnym i rodzinnym matki.

Zapomogi pieniężne nie mogą jednak przekraczać 1 zł. dziennie w ciągu 6, 7, i 8 miesiąca ciąży — 2 zł. dziennie w 9-tym miesiącu i 3 zł. w pierwszym miesiącu po porodzie, o ile dziecko żyje.

Utrata lub przerwa świadczeń następuje, gdy stwierdzi się, iż dana osoba już tej pomocy nie potrzebuje, nie stosuje się do wskazówek lekarza, lub poda fałszywe wiadomości o swym stanie materialnym.

j. k.

ILOŚĆ STUDENTEK W POLSKICH SZKOŁACH AKADEMICKICH

„Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej“ z r. 1927 podaje, między innymi, dane liczbowe, dotyczące ilości studentek i studentów w polskich szkołach akademickich za okres 1921/22 do 1925/26.

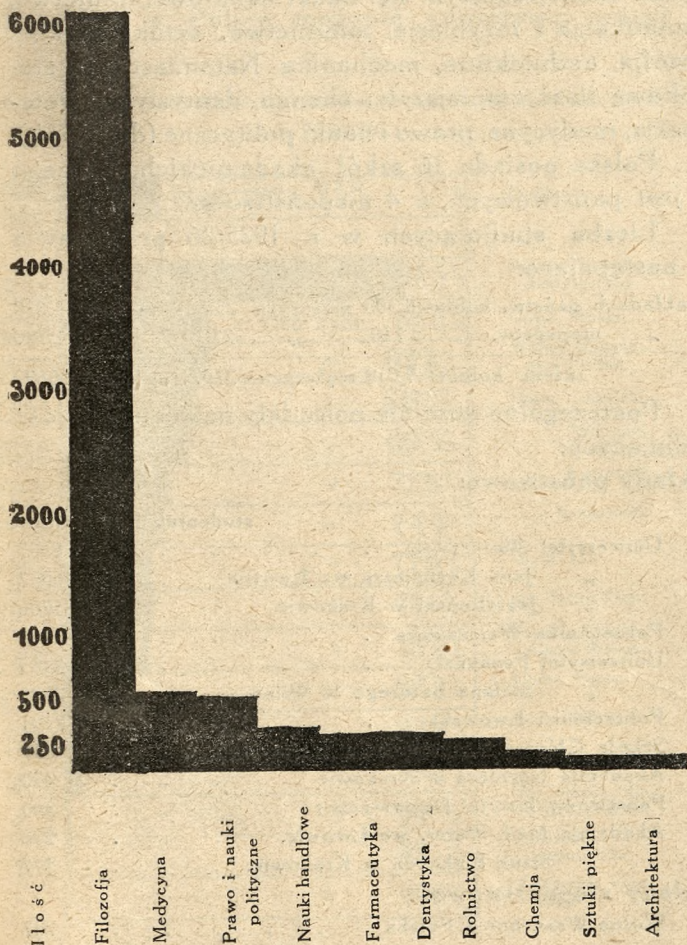
Jest to właściwie w Odrodzonej Polsce pierwsze normalne pięciolecie naszych wyższych uczelni. Przed rokiem 1921/22 niektóre wyższe zakłady były jeszcze w stadium organizacji, a do tego czasu wojenne i nieuregulowane bezpośrednio po wojnie — dają jakies liczby przypadkowe, nieposiadające w tym wypadku znaczenia. Dane z roku akademickiego 1926/27 będą dopiero w „Roczniku Statystycznym Rz.P.“ za r. 1928.

Martwe, rzekomo, liczby rzucają ciekawe światło na układające się stosunki, na zmiany niedostrzegalne, na dążenia, w których kierunku idą zamiłowania, albo iść zmusza życie.

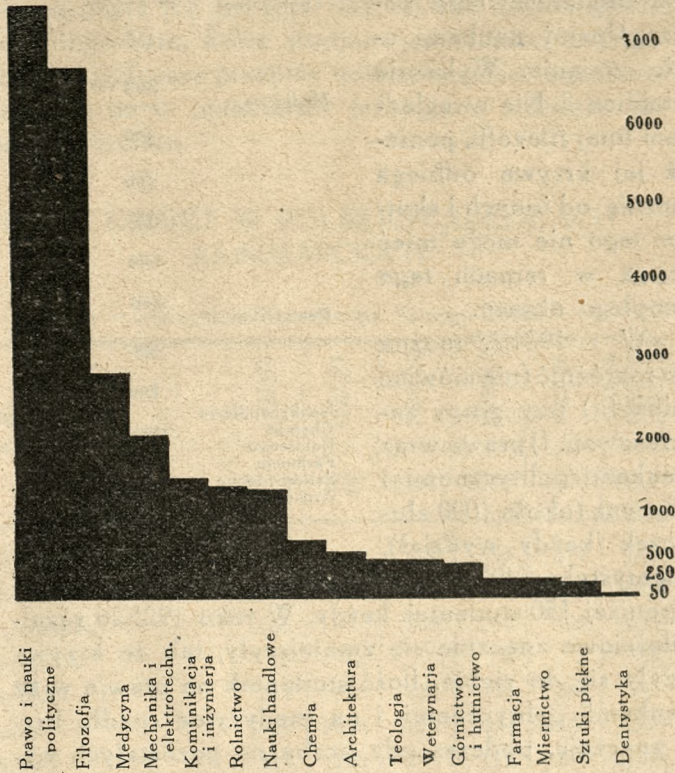
Zajmę się temi danymi, które dotyczą studentek.

W roku 1925/26 było w szkołach akademickich studentek 9019. Za całe pięciolecie powiększyła się liczba słuchaczek o 1004, a więc o przeszło 11%. W tym samym czasie ilość studentów wzrosła z 25.691 na 27.571, czyli przeszło o 6%.

Tabl. 1. Rodzaj studjów kobiet w r. 1925/26



Tabl. 2. Rodzaj studjów mężczyzn w r. 1925/26



Rodzaj studjów obejmował — z wyjątkiem teologii i górnictwa wraz z hutnictwem — wszystkie istniejące u nas wydziały i typy szkół wyższych. Największym zainteresowaniem cieszy się wydział filozoficzny, skupiający w sobie 67% (6136) ogółu studentek; pozostała, niespełna 1/3 część (2883), rozkłada się na 13 innych fakultetów, posiadających wobec tego tylko znikomą liczbę słuchaczek. Wykres 1, daje obraz rozmieszczenia kobiet na różnych wydziałach. Po filozofii mniejszą ilość studentek posiadają następujące wydziały: medycyna, prawo i nauki polityczne, nauki handlowe, dentystyka, rolnictwo, chemia, sztuki piękne i architektura. Na tablicy niema tych wydziałów, w których liczba studentek nie dochodzi do 50, są to: weterynarja (7), nauki komunikacyjne i elektrotechnika (19), mechanika (23), miernictwo (20).

Dla porównania mamy tablicę 2, przedstawiającą rozmieszczenie mężczyzn na wszystkich wydziałach, również z r. 1925/26. Tutaj na pierwszym miejscu jest prawo i nauki polityczne, a niewiele od nich odbiega filozofja; medycyna ma już znacznie mniej słuchaczy, a po niej następują, w ilości coraz zmniejszającej się: mechanika, nauki komunikacyjne i inżynierja, rolnictwo, nauki handlowe, chemia, architektura, teologja, weterynarja, górnictwo, farmacja, miernictwo, sztuki piękne, dentystyka.

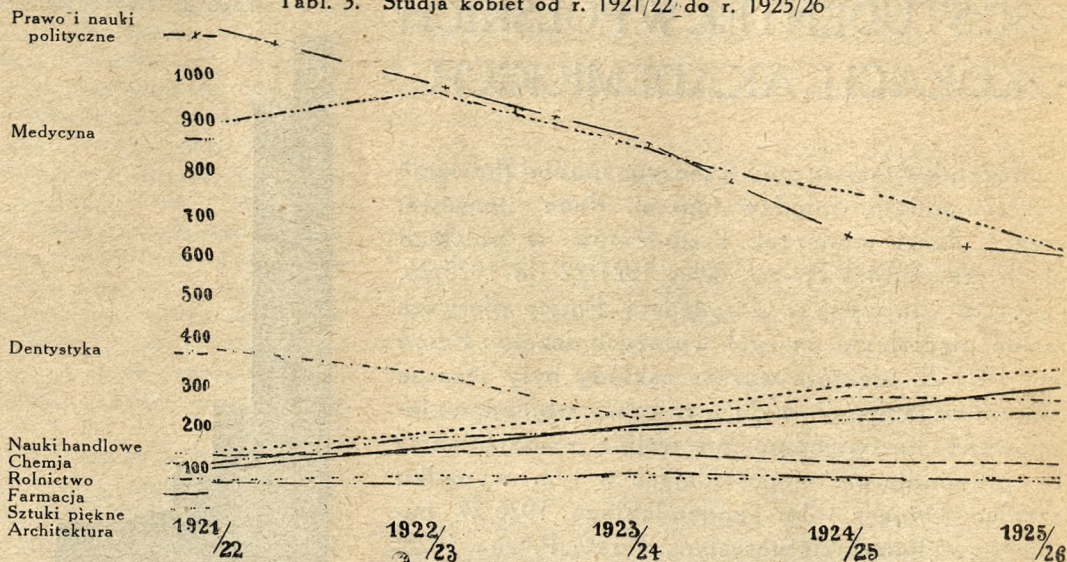
Porównując oba zestawienia, widzimy, że w zainteresowaniach mężczyzn niema tak wielkich różnic, a przejście między więcej, a mniej uczęszczanym wydziałem jest łagodniejsze. Kobiety, można powiedzieć, z reguły studjują filozofję, a mała, stosunkowo, liczba wybiera inne wydziały.

W przeciągu pięciolecia zainteresowanie poszczególnymi naukami uległo zmianie. Wykazuje to tablica 3. Nie uwzględniłam tutaj filozofji, ponieważ jej krzywa odbiega znacznie od innych i skutkiem tego nie może mieć miejsca w ramach tego szczupłego obrazu.

W r. 1921/22 można było rozróżnić (nie mówiąc o filozofji) trzy grupy zainteresowań: 1) prawo wraz z naukami politycznymi i medycyną (około 1000 słuchaczek każdy wydział), 2) dentystyka (400), 3) wszystkie inne wydziały w ilości poniżej 150 studentek każdy. W roku 1925/26 różnice ilościowe znacznie się zmniejszyły, tak że krzywe zbliżyły się do siebie. Ilość studentek na prawie wraz z naukami politycznymi i na medycynie spadła bardzo znacznie, podczas gdy liczba na pozostałych wydziałach regularnie wzrasta. Nauki—jak rolnictwo, farmacja i t. p., zwiększają ilość słuchaczek kosztem prawa i medycyny.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje ten, tak ulubiony u nas wydział—filozofja. Liczba 4925 studen-

Tabl. 3. Studja kobiet od r. 1921/22 do r. 1925/26



tek z r. 1921/22 wzrasta lub zmniejsza się przez pięciolecie i dochodzi w roku akademickim 1925/26 do poważnej liczby 6136, podczas gdy ilość słuchaczy filozofji wynosi tegoż roku 6821 a więc niewiele więcej.

Tablica 4 przedstawia graficznie wskaźnik roku 1925/26 w porównaniu z rokiem 1921/22. Podstawą jest ilość studentek na danym wydziale w r. 1921/22, oznaczona liczbą sto. Widzimy, że większa część wydziałów powiększyła liczbę swych słuchaczek, farmacja najwięcej, bo przeszło 300%, a następnie, w porządku zmniejszającym się: nauki handlowe, rolnictwo, komunikacja i inżynierja, miernictwo, sztuki piękne, filozofja, architektura, mechanika. Natomiast swą stosunkową ilość zmniejszyły: chemja, dentystyka, weterynarja, medycyna, prawo i nauki polityczne (do 54.7%).

Polska posiada 16 szkół akademickich, z czego 12 jest państwowych, a 4 niepaństwowe.

Liczba studjujących w r. 1925/26 przedstawia się następująco:

w zakładach państw. kobiet	8.309	mężczyzn	25.501	razem	33.810
„ niepaństw. „	710	„	2.070	„	2.780
razem kobiet		— 9.019		mężczyzn — 27.571	
		ogółem		— 36.590	

Poszczególne uczelnie posiadały następującą ilość studjujących:

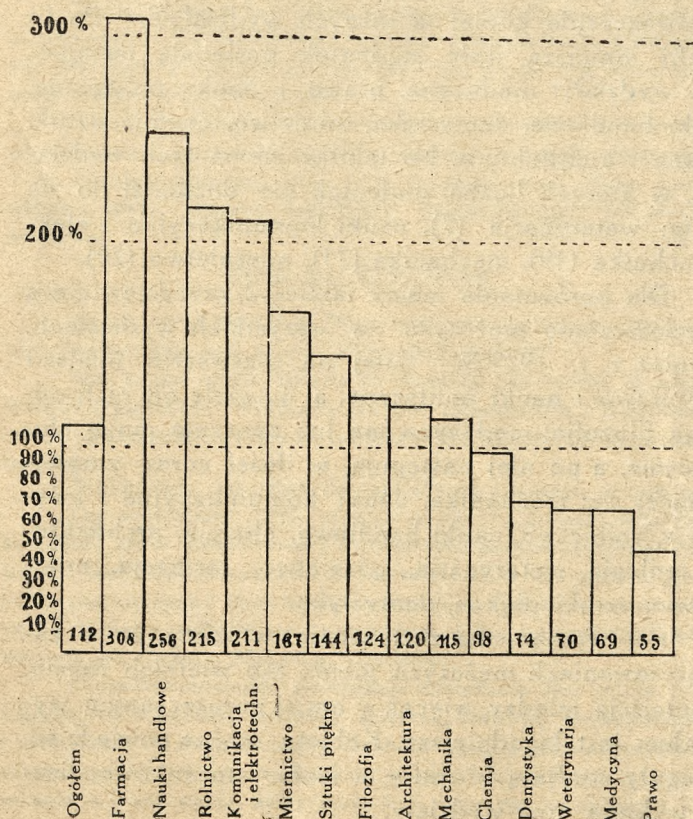
Zakłady państwowe:

Zakład	studentek i studentów
Uniwersytet Warszawski	8537
„ Jana Kazimierza we Lwowie	6052
„ Jagielloński w Krakowie	5706
Politechnika Warszawska	3799
Uniwersytet Poznański	2985
„ Stefana Batorego w Wilnie	2506
Politechnika Lwowska	2101
Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego	839
Akademia Górnicza w Krakowie	470
Państwowy Instytut Dentystyczny	340
Akademia Med.-Weter. we Lwowie	298
„ Sztuk Pięknych w Krakowie	177

Zakłady niepaństwowe:

Wolna Wszechnica Polska	707
-------------------------	-----

Tabl. 4. Wskaźnik ilości studentek w r. 1925/26 w porównaniu do r. 1921/22 (liczba 100)



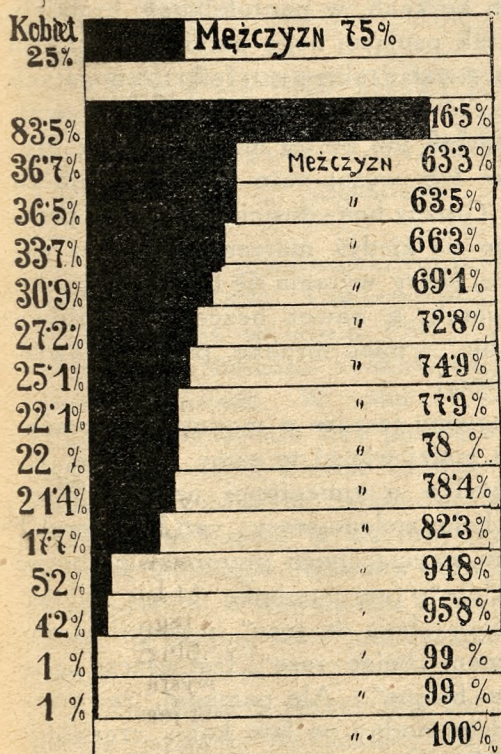
Wyższa Szkoła Handlowa	1559
Uniwersytet Lubelski	315
Wyższa Szkoła dla Handlu Zagranicznego we Lwowie	199
	36590

Tablica 5 wskazuje, jaki jest udział kobiet w ogólnej liczbie poszczególnych zakładów. Państwowy Instytut Dentystyczny posiada studentek aż 83.5%; potem idą uczelnie, posiadające wydziały filozoficzne, więc: Uniwersytet Warszawski, Wolna Wszechnica Polska, Uniwersytet Wileński, Lwowski, Krakowski. Najmniejszą ilość stosunkową, bo 1% słuchaczek, ma Wyższa Szkoła dla Handlu Zagranicznego we Lwowie i Akademia Med.-Weter.; natomiast Akademia Górnicza w Krakowie nie posiada studentek wcale. Ogółem Szkoły Akademickie w Polsce posiadają 25% kobiet.

Na podstawie tych kilkudziesięciu liczb można by opracować jeszcze niejedną kwestję, stwierdzić niejedną stan rzeczy.

Drugim odrębnym zagadnieniem byłoby na podstawie tych wyników, obliczonych i zestawionych — wytłumaczyć różne zachodzące zjawiska. Np.: dlaczego kobiety tak masowo garną się do filozofii? dlaczego znacznie zmniejszyła się liczba medyczek i prawniczek, a natomiast powiększyła się do 300% ilość studentek na farmacji? i t. p. Przyczyna danego zjawiska będzie niejedna, będzie ono skutkiem całego kompleksu najróżnorodniejszych przyczyn. Wyczerpująca odpowiedź na takie pytania musiałaby ująć szeroko rozmaite kwestje: jak i w jakich zawodach mają kobiety w Polsce możliwość zawodowej pracy?

Tabl. 5. Ilość studentek i studentów w szkołach akademickich w r. 1925/26



Ogółem	
Państw. Instytut dentystyczny	83.5%
Uniw. Warsz.	36.7%
Wolna Wszechnica Polska	36.5%
Uniw. Lubelski	33.7%
" Wileński	30.9%
" Lwowski	27.2%
" Krakowski	25.1%
W. S. H.	22.1%
Ak. Sztuk Pięk.	22%
Szkoła Główna Gosp. Wiejsk.	21.4%
Uniw. Pozn.	17.7%
Polit. Warsz.	52%
Polit. Lwowska	42%
W. Szkoła dla Hand. Zagan.	1%
Akademia Weterynaryjna	1%
Akademia Górnicza	

w których zawodach panuje nadprodukcja pracowników, a gdzie ich brakuje? jaki zawód daje większe szanse dobrobytu, które studjum jest lżejsze, a które posiada uciążliwsze przepisy uniwersyteckie? itp. Lecz odpowiedź na te pytania nie leży już w zakresie niniejszego tematu.

ILOŚĆ KOBIEC W POLSKICH SZKOŁACH AKADEMICKICH

Rocznik Statystyczny Rzeczp. Polsk. — r. 1927.

	1921/22	1922/23	1923/24	1924/25	1925/26	wskaznik 1925/26 do 1921/22
ogółem	8015	9129	8931	8654	9019	112.7
prawo i nauki polityczne	1132	1010	899	659	619	54.7
medycyna	906	988	873	751	629	69.4
farmaceutyka	106	—	208	250	308	308—
weterynarja	10	12	6	8	7	70—
dentystyka	379	331	225	293	284	74—
filozofja	4925	6053	5879	5679	6136	124—
rolnictwo	114	180	204	233	245	214.9
nauki komunikacyjne i elektrotechniczne	9	24	24	22	19	211.1
architektura	71	72	102	91	85	119.7
mechanika i elektrotechnika	20	37	34	26	23	115—
chemja	130	140	148	129	128	98—
nauki miernicze i ogólnotechniczne	12	3	4	9	20	166.6
górnictwo i hutnictwo	2	1	—	—	—	—
sztuki piękne	70	92	85	86	101	144.3
nauki handlowe	135	186	240	311	346	256.3
inne	—	—	—	107	69	—

Lidja Kozakówna

magister nauk ekonomiczno-politycznych,

LIST Z PARYŻA

2).

W listach pytasz się ciągle,] co noszą teraz paryżanki na ulicę? — Na to pytanie będzie mi najtrudniej odpowiedzieć. W tym lejącym się ciemną strugą z ulicy na ulicę tłumie, śpieszącym i zapracowanym, trudno jest wyłowić tę wymarzoną przez nas „paryżankę“. Owszem, zobaczysz ją czasem, oglądającą wystawy magazynów, lub wsiadającą do taxi, w tak modnym tej wiosny czerwonym płaszczku koloru tureckiego feza, z kołnierzem z rudego lisa; ale ta elegancka, wysoka, śliczna „paryżanka“ — to będzie napewno amerykanka, angielfka, lub wiedenka. Dzisiejsza paryżanka, to właściwie „midinetka“, czyli pannenka z magazynu — dziewczątka małe, na cienkich

nózkach, ubrane w prosty, krótki płaszcz z „Bon Marché“ albo od „Lafayette“, z umalowaną twarzą, której tylko część wygląda z pod małego, taniego „feutra“, na bakier nasuniętego. Jest też i inny rodzaj „paryżanek“, ale te możesz zobaczyć tylko o siódmej rano, gdy idą po zakupy z koszami i ceratowymi torbami. Prawdziwe „paryżanki“, te, o których myślisz, mają przeważnie własne auta, domy, dzieci i oszczędnych mężów. Po ulicach nie chodzą, tylko jeżdżą autami, a gdy chcą się przejść, to ubierają się w skromny kostjum „trotteur“, biorą psa ze sobą i jadą znowu autem do Bois de Boulogne. Czasem w towarzystwie brzydkich, małych francuskich dżentelmenów zobaczysz je, jadące konno po lasku Bulońskim. Wieczorem widuje się je nieraz w „Claridge“, albo w Lutecji, lub u Vautela. Uczesane są gładko i świecąco, z długim szpicem ztyłu. (Karczki podgolone „à la Zieńczuk“ nie są w Paryżu dobrze widziane). Elegantki noszą na wieczór, jako ubranie głowy, turbany, które sobie same wiążą z metalicznej gazy lub lamy. Na jednym bardzo snobskim dancingu widziałam ładną panią, która miała do różowej sukni zawiązaną apaszowską chustkę, całą naszywaną strassami — bardzo to dobrze wyglądało.

Biżuterji prawdziwej nie nosi się: modne są kryształki i paciorki, dostosowane kolorem do koloru sukni. U jednej pani widziałam na szyi sznur ze strasów, zakończony medaljonem. — Bardzo modne są zegarki: gnieżdżą się one nieraz w rączce od parasola, albo wiszą na wstążce w okolicy serca, jako ozdoba sukni. Szale wieczorem spotyka się dość często; bywają one zawsze spięte przy szyi bujnym kwiatem lub fantazją, wyrosłą w głowie jakiejś genialnej paryskiej modystki. Jak pewnie zauważyłaś, wszystkie polki, ze strachu przed Paryżem, pozdejnowały już dawno z kapeluszy tak modne u nas na jesieni wólki. Tymczasem zagranicą są one w dalszym ciągu modne, prawie zawsze ozdobione czarnymi, aksamitnymi muszkami. Tak samo są modne w dalszym ciągu płaszcze „double-face“ do noszenia na dwie strony, i capes z aksamitu. Na balach widziałam bardzo dużo „robes de style“ (o których słyszałam już w styczniu w Warszawie, że są na wymarciu). Te drogocenne „roby“ były przeważnie dłuższe ztyłu (w celu przyniesienia do domu rzewnych wspomnień, w formie kolorowych serpentyn i kurzu), a z przodu zupełnie krótkie, żeby nóg nie kryć pod korcem.

Do sukien tych przypięte były bukiety kwiatów, a do głowy osoby, która miała taką suknię na sobie — jeden długi lok. — „L'habit fait le moine“ (w dosłownym tłumaczeniu: „habit robi zakonnika“). — To przysłowie wymyślili francuzi; my mamy natomiast inne przysłowie, daleko mniej słuszne i wcale do dzisiejszych czasów nie dostosowane: „Nie suknia zdoobi człowieka“... — Pewnie, że nie suknia sama: ale i bukiiki od najlepszego szewca, kapelusz z najdroższego,

prawdziwego filcu, pończochy cienkie, jedwabne, marki „Tigre“, „Lines“ albo „Lys“ etc.

W Paryżu nic nie pomoże twoja uroda, młodość i inteligencja, jeśli będziesz miała pończochy ze sztucznego jedwabiu, sukienkę od „Samaritaine“ i pantofelki od „Raoula“. Jednym słowem, zagranicą musisz mieć pieniądze, inaczej nie spojry na Ciebie ani pies, ani kot, ani szanujący się mężczyzna (chyba, że to będzie ubogi murzyn, albo jugosłowianin). Ach! o ileż łatwiej w naszej poczciwej Polsce, a szczególnie w Krakowie, który jest prawie tak odległy od Paryża, jak księżyc od ziemi — udawać dobrze ubraną kobietę, niż w tej stolicy świata! Któryż z naszych panów zna się tak, jak francuzi, na marce pończoch jedwabnych, lub na filcu: czy jest „merinos“, czy „feutre“? — Za niedociągniętą przypadkiem pończochę, lub za przybrudzone rękawiczki nikt nas nie przestanie kochać — tam, sądzę, byłoby przeciwnie.

Pewno chciałabyś się dowiedzieć, jakie kapelusze będą modne na lato? Przedewszystkiem — będą bardzo noszone duże, słomkowe kapelusze z kwiatami i wstążkami, przeważnie czerwonego koloru. Zdaje się, że moda — ta protektorka kobiet — zrozumiała, że kobieta - chłopiec nie ma już przyszłości, bo i tak, mimo wysiłków kilku lat, nie dorównała mężczyźnie pod względem... obojętności na mężczyzn, i że trzeba zapakować ją napowrót w szerokie suknie i falbanki, zawiązać ją na wstążki i kokardy, zarzucić ją kwiatami, zasłonić dużym kapeluszem i parasolką w kwiaty i ptaki, i niech się stara nanowo o serca tych panów! Te duże, kosztowne paryskie lalki odrzuciły ze wstrętem buty na płaskich obcasach, które im sport i Anglja narzuciły, i z radością chodzą teraz po ulicach na wysokich korkach, w pantofelkach krótkich, spiczastych, bez tak psującej nogę patki. Paryski król szewców, Perrugia, stwarza takie pantofelki dla bogatych paryskich kopciuszków w cenie od tysiąca fr. wwyż.

W Polsce pewno już nie są modne buty z krokodyla, jaszczurki lub węża; zato Paryż szaleje za płazami i gadami. Groźny boa - dusiciel nigdy nie przypuszczał, że stanie się kiedyś marzeniem każdej paryżanki! Z wężowej skóry wyrabia się też torby, paski, kwiaty do butonierek, a nawet bezcenne sportowe kurtki. „Ça fait chic“ — mieć torebkę, pantofle i kwiatek z tej samej skóry!

A teraz pomówmy jeszcze o modnych kolorach; właściwie nosi się mniej więcej te same odcienie, co przeszłego roku, tylko o zmienionej nazwie. Więc masz, moja droga, kolor zielono-szary „vert Lindbergh“ na pamiątkę oceanu, zwyciężonego przez tego półboga; a także „bleu-pilote“ (na pamiątkę blązy pilota). Nasz znany i ceniony „bois de rose“ wystąpił na nowo pod pseudonimem „beige-rose“. Jest jeszcze „gris mouette“ i „beige-bisque“. Ale pamiętaj, że przedewszystkiem będzie modny na lato kolor czerwony i żółty — jak kanarek, jak cytryna i jak zazdrość.

Co do futer, to modne są (nie noszone, bo za drogie) białe lisy, farbowane na różne jasne kolory. Krety, tak szanowane u nas, są szalenie obnoszone w Paryżu i tam. Damy noszą na wieczór capes z nurków lub fok.

Francuzki malują się dowcipnie i chytrze tak, że tego prawie nie znać; jest to bardzo trudna wiedza, którejśmy jeszcze nie posiadły. Ich malowanie polega więcej na dbaniu i pielęgnowaniu twarzy, niż na farbie. Nigdy zawód bycia kobietą nie był tak męczący, jak teraz! Powiedz: ile czasu i sił musi zużyć nowoczesna dama, żeby wyjść na ulicę młodą, chudą i ładną! Tego dawniej nie było. Kobiety dzieliły się na: młode, stare, brzydkie, ładne, grube i chude. Dzisiejsza epoka brzydzi się kobietą starą i tłustą. A świat kobiecy dzieli się tylko na dwa gatunki kobiet: na biedne i na bogate. Biedne — muszą się roztyć, pomarszczyć i zestarzeć (masaże i zabiegi kosmetyczne wszędzie na świecie są bardzo drogie). Bogate zaś (przykład — Mistinguette) mogą do siedemdziesięciu lat pozostać młode i świeże. Menu gra też ogromną rolę w wyglądzie: ordynarne, pieprzne potrawy: — gulasze, klopsy, wołowiny, konie i krowy — fatalnie wpływają na cerę. Zato ładnie się od owoców, które u nas dla osób niemających się są zupełnie nie do kupienia. Kto wie, czy cudowna cera amerykańek nie pochodzi od ogromnego kalifornijskiego owocu „grape-apple“, który stanowi ich pierwsze śniadanie?

Na tem kończę ten mój wyczerpujący (czytelnika) list i ściskam Cię serdecznie! M.



ZDOBIENIE BALKONÓW ROŚLINAMI

(Dokończenie)

W okresie przedwojennym pierwsze kroki w tym kierunku uczyniło Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie, gdyż w latach 1905 i 1910 ogłosiło dwa konkursy na balkony i okna, najpiękniej przybrane żywymi roślinami. W roku 1905 T-wo otrzymało 10 zgłoszeń i wydało trzy pierwsze nagrody i dwie — drugie. W całym mieście zauważono wtedy zaledwie około 40 przybranych balkonów. W r. 1910 zgłoszono także 10 balkonów, a nagrody uzyskały tylko trzy. Wkrótce zdobienie balkonów tak się rozpowszechniło, że przed wojną w śródmieściu Warszawy nie było prawie domu, na którym choć jeden balkon nie mieniłby się barwami kwiatów.

Niewątpliwie przyczyniły się do tego w znacznej mierze jarmarki na rozsady balkonowe, urządzone przez kilka lat zrzędu przez Polski Związek Zawo-

dowy Ogrodników, a obecnie znowu organizowane przez Związek Kwiaciarzy.

Ale wybuchła wojna, pozbawiła miłośników roślin środków materialnych, zniweczyła spokój ducha, potrzebny do zajmowania się pielęgnowaniem roślin, i rozbiła ogniska domowe.

Po wojnie — ciągle wzrastająca drożyzna zmuszała ludzi do wprowadzania wszelkich możliwych oszczędności i wyrzekania się wielu potrzeb kulturalnych, bez których można było się obejść. Zamiłowanie do roślin rozwijało się zaś najsilniej wśród inteligencji pracującej, która najbardziej wskutek wojny podupadła: rośliny, korytka, doniczki i ziemia dotkliwie podrożały, więc niejedna skrzynka pustką świeciła, niejeden balkon się ogołocił.

W tym czasie, bo w październiku 1917 roku, powstało w Warszawie Koło Miłośników Ogrodnictwa przy T. O. W. Pierwotnie nazywała się ta instytucja Kołem Właścicieli Małych Ogródków; ponieważ jednak posiadacze najmniejszych ogródków, jakimi są doniczki na oknach i rośliny na balkonach, uważali, że trzeba mieć własny kawałek ziemi, żeby do tej instytucji należeć, więc nazwa jej została zmieniona na Koło Miłośników Ogrodnictwa.

Pod skrzydła tego Koła garną się wszyscy, którzy umiłowali rośliny, pielęgnują je w mieszkaniu, na balkonie, w ogródku, i pragną współdziałać w szerzeniu tego zamiłowania.

Do wytkniętego celu Koło M. O. dąży różnemi drogami. Więc urządza zebrania miesięczne z pogadankami, losuje między obecnych członków rośliny, dzierżawi w Warszawie grunt, na którym wyznacza działki i wydziela je swoim członkom pod uprawę. Są to, opisane w powieści Perzyńskiego „Nie było nas — był las“ — zagonki dla inteligencji pracującej. Puka Koło do serc dziatwy w szkołach powszechnych, bowiem utworzyło Sekcję zdobienia szkół powszechnych roślinami i zgorą 80 szkół w Warszawie ma pod swoją opieką. Ale wśród różnych metod szerzenia zamiłowania do ogrodnictwa — zwróciło uwagę również na zdobienie roślinami okien i balkonów.

W tej myśli Koło Miłośników Ogrodnictwa ogłosiło poraz pierwszy w r. 1925 konkurs na balkony i okna, najpiękniej przybrane roślinami, i od tego czasu ogłasza takie konkursy corocznie. Na wezwanie Koła zgłoszono w r. 1925 — 24 balkony. Specjalna Komisja obejrzała je i przyznała 4 nagrody. Pierwszą otrzymała p. Marja Telakowska, II-gą — p. d-rowa Karwacka, III-cią — p. Józefina Bielska, artystka operetki warszawskiej, i IV-tą — p. Dyr. Marzyński.

Na konkurs w r. 1926 otrzymało Koło 27 zgłoszeń. Przybyła mu też cenna nagroda przechodnia, w postaci artystycznej patery brązowej, ofiarowanej przez odlewnię bronzów artystycznych J. Wasilewskiego i S-ki.

Nagrodę tę przyznaje się corocznie za najpiękniejszy balkon, i nazwisko osoby obdarowanej zostaje wyrzeźbione na paterze. Jeżeli przez 3 lata patera pozostanie w tych samych rękach, to przechodzi na własność danej osoby. Więc w r. 1926 najwyższą nagrodę uzyskała p. Lucyna Kotarbińska, a dalsze nagrody otrzymali pp.: Józef Zawadzki, dyr. Marzyński, d-rowsa Węgierko, p. Widulińska, p. Mickaniewska i p. inż. Tyszką.

W roku zeszłym, 1927, nagroda przechodziła została przyznana p. inż. Marji Telakowskiej. Drugą nagrodę otrzymała p. Lucyna Kotarbińska, III-a—p. Sułkowski, IV-tą—dr. Geisler, V-a—p. Lewińska, VI-a—p. Zdanowiczowa.

Na rok bieżący, 1928, Koło znowu ogłasza konkurs i prosi wszystkich posiadaczy balkonów i okien, przybranych żywymi roślinami, o zgłaszanie się do konkursu. Wpisowe wynosi dla członków K. M. O. zł. 2, dla osób postronnych—3 zł. Zgłaszać balkony można do 15 lipca osobiście, lub piśmiennie w biurze Koła: Jerozolimska 45 m. 4, albo telefonicznie 32-35.

Specjalna komisja obejrzy zgłoszone balkony dwukrotnie: poraz pierwszy w drugiej połowie lipca, następnie zaś w pierwszej połowie września. Wynik konkursu będzie ogłoszony na zebraniu Koła w dniu 2 października.

Doniosłość akcji zdobienia miast tą drogą przeniknęła już także do sfer miarodajnych. Bowiem ogłoszone w dniu 11 maja wezwanie p. ministra spraw wewnętrznych do wojewodów i starostw—poleca im popieranie działalności i tworzenia się towarzystw, które miałyby na celu rozwój zdrowotny i estetyczny miast. Wśród zakresu działania tych organizacji społecznych znajdujemy wyraźnie wymienione: inicjowanie ozdabiania okien, balkonów, podwórz kwiatami i zielenią.

Inicjatywa jest, i to nie nowa, bo początek jej datuje od r. 1905; poparcia tej akcji ze strony władz państwowych; ani komunalnych dotychczas nie było; należy jednak spodziewać się, że teraz nastąpi w formie wydatnej i umożliwi przeprowadzenie propagandy w szerokim zakresie drogą organizowania w różnych dzielnicach miasta pogadanek, ułatwiania nabywania skrzynek, rozsąd i t. p. pomocy.

Lecz z drugiej strony konieczne jest zainteresowanie się sprawą zdobienia balkonów i ogłoszonego konkursu ze strony tych, którzy posiadają balkony. Wielką pomocą w tym kierunku byłoby zrzeszanie się osób zainteresowanych, bo na terenie odpowiednich organizacji mogłyby zasięgać porad i wskazówek. Przy zwiększonym zapotrzebowaniu instytucja mogłaby ułatwiać nabywanie korytek, ziemi, rozsąd i wszelkimi drogami okazywać pomoc. Koło Miłośników Ogródnictwa otwiera chętnie swe podwoje wszystkim miłośnikom roślin, a jeśli posiadacze balkonów zgromadzą się licznie i odczują tego potrzebę—będą mogli wytworzyć w łonie Koła sekcję balkonową, tak

samo, jak już powstała sekcja zagonkowa i sekcja zdobienia szkół roślinami. W tym kierunku wszelkich wyjaśnień udziela chętnie biuro K. M. O. (Jerozolimska 45 m. 4, lub telefon 32-35.)

A gdy nasza stolica posiada dużo tych balkonów, gdy przyozdobi nimi wszystkie ulice i wszystkie domy—wówczas Koło M. O. osiągnie pełnię zadowolenia ze spełnienia jednego ze swych zadań, w myśl słów Asnyka:

„Wraz z wonią barwnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz
Cicha poezja Światów
W głąb ludzkich spłynie dusz“.

St. n. Schönfeld.

CZWARTY ZJAZD CZESKICH GOSPODYŃ

(dokończenie)

Dr. M. Podzimkowa mówi o oszczędności przy odżywianiu. Wylicza, ile płacimy za 100 kaloryj, zawartych w poszczególnych artykułach spożywczych, biorąc naturalnie za podstawę obliczenia ceny dnia w Pradze, potem to samo obliczenie stosując do gotowych już potraw. W taki sam sposób oblicza cenę 1 grama białka, zawartego w różnych artykułach spożywczych. Doskonale „resumé“ tego referatu daje pani Pelantowa, mówiąc, że o ile zrozumiała, to najlepiej się odżywiać kartoflami i twarogiem, byle w miłym towarzystwie i przy ładnie nakrytym stole.

Następny referat pani Vlastimily Kozłowej specjalnie wzbudził moje zainteresowanie, gdyż referentka jest kierowniczką zawodowej szkoły z oddziałem kucharskim i właśnie tę szkołę miałam potem zwiedzić. Wrażeniami, jakie z niej odniosłam, obszerniej się z Czytelniczkami „Bluszczu“ podzielę.

Według słów pani Kozłowej, dobra gospodyni powinna: 1) Podawać potrawy smaczne, pożywne, w dostatecznej ilości 2) Zachować równowagę dochodu i wydatków. Na pożywienie nie powinno się wydawać więcej, niż 50 — 55 proc. swego dochodu (strasznie dużo!—moja uwaga); w tem powinien już się zawierać i wydatek na opał. 3) Kupować towary w dobrym gatunku; uważać, aby się nic nie psuło i nie marnowało. 4) Przy gotowaniu stosować zasadę: „Czas—to pieniądz“. Praca w kuchni nie powinna zabierać zbyt dużo czasu, ani siły. Zajęcia około przygotowania pokarmów dzielą się w sposób następujący:

- 1) Ułożenie jadłospisu.
- 2) Przygotowanie artykułów spożywczych.
- 3) Ugotowanie potraw.
- 4) Zużycie opału.
- 5) Podanie do stołu i sprzątnięcie naczyń.

Jadłospisy tańsze i droższe powinny być zastoso-
wane do dni powszednich i świątecznych. Przy ukła-
daniu ich należy stosować artykuły sezonowe, nie da-
jąc się unosić chęci kupowania nowalijek. Stosować
je do składu rodziny, uwzględniając ludzi ciężiej pra-
cujących, młodzież, potrzebującą silniejszego odżywia-
nia, osoby starsze, lub chore. Artykuły mączne dopeł-
niać tłuszczami, nie nadużywać mięsnych pokarmów,
natomiast zastępować je jarzynami i owocami. Nie za-
pominać o mleku. W te dnie, kiedy są wykonywane
inne prace domowe, jak wielkie porządki, pranie i t. p.,
ułożyć jadłospis z potraw, które mogą bądź dzień
przedtem być przyrządzone, bądź też mało czasu do
ugotowania potrzebują. Przy układaniu jadłospisu obli-
czyć zgóry koszt jego w pieniądzu i pracy.

W przygotowaniu materiałów główną rolę grają
zakupy. Dzielimy je na miesięczne, tygodniowe i co-
dziennie. Większe zakupy oszczędzają czas i dają moż-
ność tańszego nabycia produktu. Codzienne zakupy
najlepiej robić latem rano, zimą—wieczorem dnia po-
przedniego. Przygotowanie zawczasu wszystkich po-
trzebnych artykułów spożywczych oszczędzi gospo-
dyni dużo czasu i pracy.

Przy samem gotowaniu ogromną rolę gra kolej-
ność zajęć.

Wszystkie prace przygotowawcze należy wyko-
nać przed zapaleniem ognia; wszelkie kasze i ziarna ro-
ślin strączkowych, wszelkie jarzyny, grzyby i owoce su-
szone należy wpierw namoczyć, aby się prędzej ugo-
towały.

Dalej pani Kozłowa mówi o wartości różnego
rodzaju paliwa: drzewa, węgla, brykietów, nafty, gazu
i t. p. i kończy na uwagach o tem, że ładne, apetycz-
ne podanie potraw, czyste, porządne nakrycie do
stołu—dodaje smaku najskromniejszym potrawom. Jak
widzimy—nic nowego, a jednak rzeczy ważne, które
każda gospodyni wiedzieć powinna.

Bożena Ferkłowa mówi o naczyniach kuchen-
nych. Aby były dobre, powinny one być zrobione
z materiału nieszkodliwego dla zdrowia, odpowied-
nie do celu, w jakim mają być użyte: gotowanie, du-
szenie i t. p., nie za małe i nie za duże, lekkie, łatwe
do czyszczenia i trwałe. Naczynia dzieli prelegentka
na dwie grupy: 1) takie, co się prędko nagrzewają;
2) takie, co długo ciepło zachowują.—Wyliczając i za-
lecając do użytku różne rodzaje metalowych naczyń,
z niklowemi i aluminjowemi na czele, poleca też na-
czynia gliniane i z ogniotrwałej porcelany, nakoniec
wzmiankuje, że w Ameryce ogólnie w użyciu są na-
czynia szklane, które się w Czechach jakoś nie przy-
jęły, a raczej zaczęto je wyrabiać i zaniechano te-
go,— a szkoda, bo są czyste i łatwe do użycia. Tu
muszę dodać małą uwagę: — na wystawie wzorowych
naczyni, którąśmy po Zjeździe oglądały, nie znalazłam
ani jednego aparatu, któregośmy już nie znały, lub
nie widziały w Warszawie.

Referat p. Vorpsalovej o praniu nie daje nic nowe-
go; zaleca ona pranie ręczne, przy pomocy tylko ma-
szyn, dobre mydło, dobre płókanie, dobre suszenie
bielizny. Nie mówi nic o amerykańskich maszy-
nach, pokazywanych nam uprzedniego wieczoru. Były
one trzech systemów: w pierwszym—pranie odbywało
się zapomocą kołysania w podwójnem naczyniu (we-
wnętrzne — było dziurkowane); w drugim — bielizna
była wciąż mieszana, jakby łopatom; w trzecim —
uderzały po niej jakby okrągłe, płaskie kijanki. Ani
na Zjeździe o nich nie mówiono, ani w szkole ich nie
widziałam, — widocznie jest to jeszcze muzyka przy-
szłości.

Niestety, prawie nic nie zrozumiałam z referatu
architekta, Fr. Havlika, o oszczędnem budowaniu
domów! Wiem tyle, że cyfry były nieprawdopodobnie
niskie. Pani Vorpsalova mówi raz jeszcze. Teraz o sprzą-
taniu,—widocznie jestem zmęczona, bo coraz mniej ro-
zumiem. Szereg referatów kończy p. E. Kvepínska,
żądająca nietylko praktycznej nauki gospodarstwa
w szkołach wszelkich typów, lecz i uwzględnienia
przy innych przedmiotach, stosowania ich w życiu do-
mowem, w pracy domowej. Nauki przyrodnicze, fizy-
ka, chemja, higjena—powinny być w taki sposób wy-
kładane, aby przyszłe matki i gospodynie mogły je
stosować w swoich domach i dla swoich rodzin. Inży-
nier Spacek wzywa obecne panie, aby zakładały koła
normalizacji pracy domowej i w swoich gospodar-
stwach stosowały zasady, wypracowywane przez Ma-
sarykową Akademię pracy. Dopiero po ukończeniu za-
powiedzianych w programie referatów nastąpiły powi-
tania Zjazdu. W imieniu kobiet polskich przemówiła
niezwykle serdecznie p. M. Karczewska. Mówiąc, że
jest szczęśliwa, iż wolna polka może mówić do wol-
nych kobiet czeskich, zaznaczyła, jak wiele rzeczy nas
z niemi łączy, a nic nie dzieli, i wezwała je do wspól-
nej pracy na polu gospodarstwa kobiecego, dla do-
bra obu narodów. W imieniu Warszawskiego Instytu-
tu Organizacji pracy powitała Zjazd p. Irena Szumla-
kowska. Obie panie przemówiły po polsku, były do-
skonale rozumiane przez czeski i entuzjastycznie
przyjmowane.

Jako rezultat prac swoich, IV Zjazd gospodyń
czeskich wyniósł następujące rezolucje. (Podaję tu
tylko ich skrót w wolnem tłumaczeniu): Wzywa on
Masarykową Akademię Pracy, aby jeszcze w tym ro-
ku jubileuszowym 1928 przystąpiła do opracowania
Ustawy o gospodarstwie domowem, żeby jeszcze w tym
roku można było zacząć praktyczne próby. Aby
wszystkie urzędy, stowarzyszenia, korporacje, władze
municipalne poparły tę akcję, organizowały ją, i aby
Ustawa o gospodarstwie domowem zyskała współpra-
cowników, jak teoretyków—uczonych, tak i praktyków,
co będzie najlepszem uczczeniem dziesięciolecia cze-
skiej niepodległości. Żąda, aby wszystkie stowarzy-
szenia gospodyń złączyły się w jeden wielki związek,
któryby występował solidarnie. Żąda, aby stowarzy-

szenia gospodarcze kobiet były zakładane w miejscowościach, gdzie istnieją szkoły gospodarcze i wszędzie współpracowały z instytucjami społecznymi i zdrowotnymi. Żąda, aby nauka gospodarstwa domowego była wykładana obowiązkowo w szkołach średnich, jak już jest wykładana w szkołach powszechnych i zawodowych. Wzywa Stowarzyszenie dla organizacji pracy domowej przy Masarykowej Akademii Pracy, aby wypracowało program kursu ekonomji domowej i wprowadziło go praktycznie w życie. Żąda, aby czeskie kobiety kupowały tylko towary czeskiego pochodzenia i wymagały od kupców, aby takowe trzymali. Żąda, aby zachowana była czystość w przechowywaniu i sprzedaży artykułów żywnościowych i aby w tym celu zostały ustanowione inspektoraty żywnościowe.

Ogólne wrażenie, jakie wyniosłam ze Zjazdu, było to, że niema nic nowego pod słońcem, że te same bolączki gospodarskie, które nas gnębią, mają i nasze siostry czeskie. Że są one lepiej od nas zorganizowane i lepiej rozumieją konieczność rozumnej organizacji gospodarstwa domowego, bo wogóle są od nas praktyczniejsze. Że jeśli nie chcemy zupełnie podupaść, jako naród, musimy się zabrać do wytężonej pracy w kierunku uporządkowania naszych domowych wydatków, znormalizowania pracy domowej, zaprowadzenia rachunkowości i najwyższej oszczędności w naszych wydatkach. Że koniecznym jest stworzenie nietylko szkół gospodarczych specjalnych dla pań gospodyń, lecz i wprowadzenie nauki gospodarstwa, nietylko teoretycznej, lecz i praktycznej, we wszystkich typach szkół powszechnych i średnich, chociażby to się miało stać kosztem usunięcia z programu jakiegokolwiek innego, mniej koniecznego przedmiotu.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

MARMELADA Z CZEREŚNI

Trzy kilo czereśni bez szypulek obmyć i osuszyć na sicie. Wydrylować nad miedniczką, aby nie tracić soku — starać się nie gniesć przy tem owocu. Na to nasypać dwa kilo cukru (kryształ), pozostawić tak na noc w pokojowej temperaturze. Nazajutrz, nie dodając wcale wody, postawić na zakrytej blasze (lub na bardzo małym ogniu na gazie) i gotować wolno, często mieszając od dna, aby nie przywarło. Gdy owoc stanie się przezroczysty, dodać pastylkę benzoesu i jakiegokolwiek zapachu, gdyż czereśnie same przez się go nie posiadają. Może to być parę łyżek dobrego rumu lub araku, kawałek utłuczonej z cukrem i przesianej wanilji, parę kropel olejku cytrynowego itp. Gorące składać do wygrzanych dobrze słoików. Dać dobrze zastygnać, nie przykrywając niczem słoiki. Nazajutrz dopiero zawiązać słoje pergaminem.

CIASTKA KOKOSOWE

Na żądanie jednej z czytelniczek „Bluszczu” dopiero teraz dostałam wypróbowany przepis ciastek z kokosowych orzechów. Z pięciu do siedmiu (zależnie od wielkości) białek ubić sztywną pianę, dodać dziesięć deka cukru (pudru) i ubijać dalej, aż masa będzie gęsta, jak krem. Dodać jeszcze dziesięć deka cukru (pudru), trochę utłuczonej wanilji, lub otartej skórki cytrynowej i dwadzieścia deka utartych orzechów kokosowych (lepsze są drobniej mielone). Na koniec dodaje się trzy (wyraźnie trzy) deka mąki pszennej, miesza lekko wszystko razem i układa na blasze, nakrytej papierem, dowolnego rozmiaru i kształtu ciastka. Piec w bardzo wolnym piecu. Gdy się lekko zrumienia, piec otworzyć i trzymać w otwartym jeszcze dobre pół godziny, aby wewnątrz doszły. Po wyjęciu, gdy dobrze ostygną, posmarować papier z odwrotnej strony wodą: ciastka wtedy wybornie odstaną.

Pani Elżbieta.

„ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRYZRĄDZANIA KRUSZONÓW,
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pęgi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.